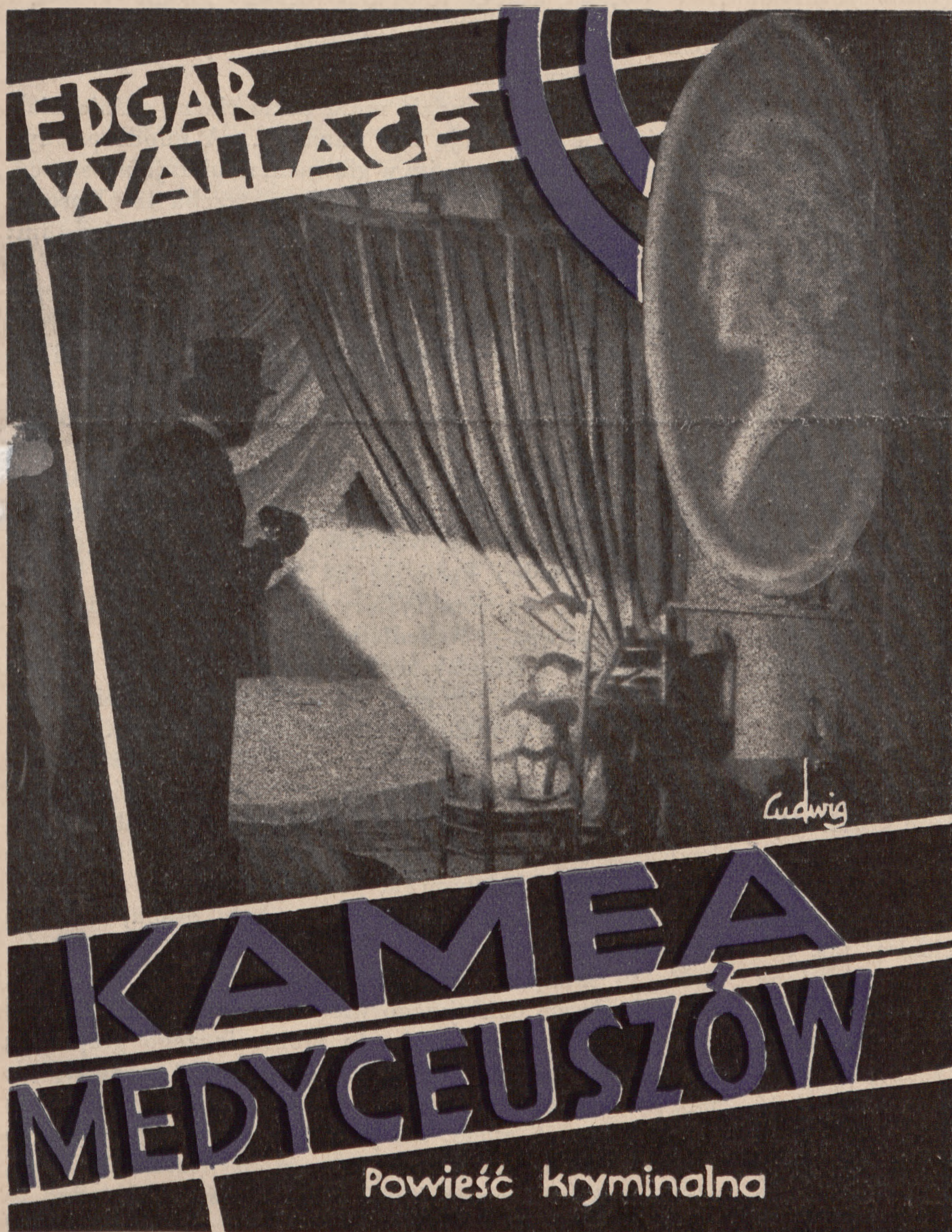
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

50 groszy

MAGAZYN POWIEŚCIOWY

50 groszy

Nr. 1 | Adres redakcji: Bydgoszcz, Marszałka Focha 6 | Redakcja: Inż. Ludwik Erdtracht i Marek Romański | Rok I



I.

Mniej malowniczy, niż bywają niekiedy włóczędzy, zdawał się być natomiast z gatunku niebezpiecznych, gdy tak stał w lesie, bawiąc się nowiutkim rewolwerem automatycznym. Rzucał go w górę, chwytał w powietrzu, znów podrzucał, ważył na palcu wskazującym, to znów przesuwał po obu dłoniach, kierując lufą ku ziemi. Skoro znużyła go ta zabawa, wsunął pistolet do kieszeni podartych spodni, lecz nie na długo, bo po chwili wyjął go znów i rozpoczął na nowo igrać z nim, jak z cackiem kosztownem, od którego oderwać nie mógł oczu ani rąk.

— To niemożliwe! — mruknął parę razy do siebie, oddając się tym ewolucjom — to niemożliwe.

Był on niewątpliwie angielskim obdartusem, lecz co mógł robić angielski obdartus w miasteczku Littlebourg, w samym środku Stanu Nowojorskiego. Fakt ten domagał się wyjaśnień, których nikt narazie nie mógł udzielić. Człowiek ten w każdym razie nie miał w sobie nic sympatycznego na sposób nawet w jaki bywają sympatyczni niekiedy włóczędzy. Twarz miał opryszczoną, obrzmiałą, oko podbite, pięścią prawdopodobnie jakiegoś drugiego włóczęgi, zbudzonego nie w porę. Mógł wprawdzie usprawiedliwić to opuchnięcie twarzy rzekomą nieświadomością niebezpiecznych właściwości sumaku*), lecz że nikt go o to nie pytał, więc i nie dawał wyjaśnień. Strój jego odpowia-

*) Farba roślinna, używana do malowania laku.

dał powierzchowności. Koszula straszliwie zasmolona nie miała kołnierzyka; łachman służący mu za kurtkę, posiadał dwie dziury w miejsce kieszeni. Na głowie miał stary kapelusz w kształcie melona, okrutnie pogięty, o skrzydłach ogryzionych przez szczury. Rewolwer wypadł mu nagle z rąk, uderzając z całym impetem o wielki palec jego stopy, wyłażący z buta, pomiędzy podeszwą a wierzchem. Syknął z bólu, pocierając stłuczony członek. W tej chwili nowa osoba weszła do lasu... Robin, bo tak się zwał obdartus, schował szybko pistolet do kieszeni spodni i wycofał się ze ścieżki w gąszcz, gdzie przykucnął pod drzewem. Ujrzał wtedy przez liście młodą dziewczynę, ładną, szczupłą i bardzo zgrabną.

„Jakaś miejscowa arystokratka", pomyślał Robin. Miała na sobie suknię jedwabną w paski, a w ręku trzymała laseczkę, którą posługiwała się bardzo zręcznie. Zatrzymała się prawie naprzeciw włóczęgi i zapaliła papierosa. Dla pozy, czy z upodobania? — zapytał siebie Robin. Nieopodal o jakie sto metrów stąd, ścieżka leśna łączyła się z szeroką ulicą miejską, zabudowaną dwoma rzędami wysokich domów, gdzie mieszkali z pewnością ludzie, skłonni gorszyć się widokiem młodej panny, palącej papierosa na ulicy.

Patrząc na skrzywioną minkę, z jaką dziewczyna oglądała cienki zwitek tytoniu, z którego dobywała się cienka niteczka dymu, musiał mniemać, że czyni to dla parady. Panienka jednak pociągnęła parę razy silniej, aż do pełnego rozżarzenia papierosa i odeszła. Uczuł do niej sympatję, jaką żywił wogóle do ludzi, którzy budzili zgorszenie w swoich bliźnich. On sam przecież tyle w życiu wywołał zgorszeń, a nie był bynajmniej na drodze skruchy. Ostrożnie wysunął się znów na ścieżkę. Czy zaczekać, aż się całkiem sciemni, czy też odrazu przejść przez miasto? Musiała być jakaś droga na północ od młynów, lub też droga biegnąca na południe w pobliżu fabryki. A może przejść poprostu bezczelnie główną ulicę, ryzykując zaczepkę ze strony jakiegoś zbyt żarliwego żandarma, co spowodować może wygonienie go z miasta. Lecz nie; po krótkim namyśle zdecydował się na pierwszy plan. Spacer po głównej ulicy był zbyt niebezpieczny. Mógłby tam spotkać Rudobrodego lub małego tłustego człowieka, który biega tak zdumiewająco szybko i tak zdumiewająco zręcznie rzuca nożem.

Tymczasem nowy przechodzień ukazał się na ścieżce, a szedł tak cicho na swych gumowych podeszwach, że Robin wprzód go dostrzegł, nim usłyszał jego kroki. Był to szczupły młodzian, odziany z niezwykłym wykwintem. Na głowie miał kapelusz z cienkiej słomki, opasany kolorową wstążką, naciśnięty zuchwale na prawe oko. Klamra od paska, który obciskał jego cienką, jak osa talję i przytrzymywał jego świetnie zaprasowane spodnie, była szczerozłota, koszula wspaniale zahaftowana. Wyglądał słowem, jak świeżo zdjęty z reklamowej ryciny popularnego „magazine". Skoro zoczył łachmaniarza, siedzącego przy drodze, usta jego, które miał dość duże, sfałdowały się.

— Hallo!

— Lo! — odpowiedział obdartus.

— Daleko idziecie?

— Nie bardzo, prawdopodobnie do Kanady; wsiądę na statek w Ogdensburgu.

— A! doprawdy; a czy macie paszport i wszystko co trzeba.

Żart ten nie wywarł najmniejszego wrażenia na włóczędze.

— Przejdę, jak to mówią, „na gębę" — odrzekł.

Młodzieniec zachichotał ze zrozumieniem i podał nędzarzowi srebrną papierośnicę, chcąc go poczęstować papierosem; zorjentował się jednak szybko, cofnąwszy papierośnicę i sam wyjął z niej papierosa, którego wręczył włóczędze. Robin rozumiał o co chodzi, że niby ręce ma niezbyt czyste. Przyjął papierosa, a dobywszy zapałki z poza podszewki kapelusza, zapalił i zaciągnął się z rozkoszą.

— Chcecie do Kanady? — zaczął elegant, to nie łatwo; żandarmi kanadyjscy wściekle zachłanni. Miałem znajomego, który przemycał alkohol, lecz musiał zaniechać, tak teraz srogo strzegą.

Lubował się sam swą łaskawością i tą poufałą kamraderją z prawdopodobnym kryminalistą. To świadczyło o jego szerokich poglądach. Nieraz już wdawał się w rozmowy z takimi obieżyświatami i nauczył się od nich masę rzeczy. Jedynie młodzian tak wytworny, jak on — mógł sobie pozwolić bez uchybienia na poufałość z prostakami. Niekoniecznie trzeba być wulgarnym, by rozmawiać z wulgarnym osobnikiem. Wyłożył ten punkt widzenia przygodnemu znajomemu.

— U nas starzy ludzie mają takie ciasne zaśniedziałe pojęcia; nie rozumieją nas młodych. A młode panny? Gimnazja przewracają im w głowach, nabierają uroszczeń. Nikt nie jest dla nich dość dobry, trzeba im Europy, a Europa goni tylko za ich złotem. Ja też mówię im: „Poznajcie wprzód Amerykę".

Robin włóczęga puścił chmurę dymu aż po szczyt wysokiej sosny.

— Ktoś już powiedział to przed panem; tak mi się widzi.

Młodzieniec zwał się Samuel Wasser; ojciec jego był właścicielem największego magazynu w Littlebourgu. Samuel wypraszał mniemanie, że każdy człowiek żyć musi własnem życiem i usiłować stwierdzić, że młodzież nowoczesna nie ma nic wspólnego z zacofanemi pojęciami starszych pokoleń, które się już całkiem przeżyły.

— Zarobiłem siedem tysięcy dolarów przez jeden rok — rzekł chełpliwie. Wszedłem we spółkę z całą bandą energicznych działaczy zeszłej jesieni. A tylko policja kanadyjska jest zbyt gorliwa, a i związkowa niemniej. Mimo to, siedem tysięcy dolarów, to nie fraszka.

Był jeszcze tak młody, że sprawiało mu dużą radość chełpienie się swem uzdolnieniem i talentami. Zadzwonił kluczykami, które miał w kieszeni, poprawił barwną krawatkę i obrzucił spojrzeniem, wyrażającem pogardę główną ulicą Littlebourgu, poczem zapytał:

— Czy nie przechodziła tędy młoda osoba, w sukni paskowanej?

Robin skinął twierdząco głową.

— Żenię się dzisiejszego wieczora — oznajmił Samuel Wasser. Zmuszają mnie do zrobienia tego głupstwa; wszyscy się na mnie spiknęli, ojciec, wuj, tak, że się nie mogę wycofać. A przecież człowiek młody powinien wprzód poznać życie; nie jestem naiwnym głupcem, co leci na każdą spódniczkę; mam wykształcenie, tak, i wiem, że są rzeczy inne, świat szerszy. Mówiąc to zakreślił rękami znaczące koła. — Słowem rozumiecie?

Robin rozumiał.

— Może to śmieszne, że mówię wam o tem, ale bo wy jesteście ze świata. Ludzie gardzą wami, a przecież wy widzicie wiele rzeczy, żyjecie wśród szerokich przestrzeni stworzonych przez Boga, gdzie ludzie są naprawdę ludźmi.

Robin dawno już nie postawił stopy w kinematografie, ale pamięć miał doskonałą i pamiętał podobnie brzmiący napis filmowy.

— Macie jeszcze jednego papierosa, albo dwa, a ja już idę.

Robin odprowadził wzrokiem rzeźką sylwetkę mimowolnego kandydata do małżeństwa i żałował, że nie poprosił go o dolara. Spojrzał później na zachód i dojrzał ponad lekką mgłą, przysłaniającą horyzont, skupienie chmur, mieszczące w sobie zapowiedź burzy.

— Burza nadchodzi — rzekł radośnie.

Rudobrody nie lubi deszczu, a mały człowiek, który rzuca nożami, niecierpi burzy.

II.

Pan Pfejfer był to duży, krzepki mężczyzna, obdarzony wybitnym zmysłem humoru. Odkąd jednak został notarjuszem, znalazł się w środowisku ludzi, którzy posiadali jeden uznany urzędowo żart publiczny, wygłaszany na zebraniach fermerów i drugi również opatentowany żart prywatny, cokolwiek drastyczny, wypowiadany w zadymionej atmosferze kawalerskich zebrań, gdzie od lat całych wzniecał konwulsyjne wybuchy śmiechu wśród wielu pokoleń ubawionych słuchaczy. Wobec tego indywidualny dowcip pana Pfejfera tkwił niejako zahamowany poza niewzruszoną maską jego rumianej twarzy. Mógłby naprzykład w tej chwili — wypełnić swe notarjalne biurko, echem dźwięcznego śmiechu, lecz nie uczynił tego i zachował twarz uroczystą, ponieważ osobnik siedzący naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu zawalonego papierami, był ważną figurą, piastującą godność sędziego pokoju i prezesa związku miejscowych fermerów.

— Powiedz mi pan jasno, panie Pfejfer — mówił Andrzej Elmer, którego gruby głos brzmiał akcentem żywego wzruszenia. Więc nie dostanę tych pieniędzy, jeśli Oktobra nie wyjdzie zamąż w dniu dwudziestej pierwszej rocznicy swych urodzin.

Pan Pfejfer skinął poważnie głową.

— Tak stoi w testamencie — rzekł, rozkładając tłustemi palcami pisany na maszynie dokument.

„Szwagrowi memu dwadzieścia tysięcy dolarów, a resztę mego mienia córce mojej Oktobrze Jones, w razie jeśli Oktobra wyjdzie zamąż przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia lub w dwudziestą pierwszą rocznicę swych urodzin“.

Andrzej Elmer podrapał się nerwowo w głowę.

— To ten notarjusz w Ogdenburgu tak to wypisał. Słowem dostanę dwadzieścia tysięcy dolarów, tak czy inaczej; a gdy Oktobra wyjdzie zamąż...

— Lecz któż jest właściwie odpowiedzialny za ten ciekawy testament.

Andrzej Elmer poruszył się niepewnie w krześle.

— To właściwie mój pomysł, Jenny spuszczała się całkiem na mnie w majątkowych sprawach.

Elmer był wysokim, chudym człowiekiem, o chudej kanciastej twarzy. Usta jego poruszały się ustawicznie, nie wydając głosu, jakby prowadził z sobą długie milczące rozmowy. W tej chwili górna jego warga podnosiła się i opadała tak szybko, że było to wysoce komicznem.

— Nie było żadnej racji do pisania takiego testamentu; pieniądze Jenny były wypożyczone na hipotekę i teraz właśnie przypada termin. Dyrektor banku w Ogdensburgu ułożył tak umyślnie, abym nie mógł dotknąć tych pieniędzy, przed zamężciem Oktobry. Co się tyczy reszty.

— Czy jest jaka reszta, panie Elmer?

Była pewna oschłość w tonie notarjusza, gdy zadał to pytanie; lecz Elmer nie zauważył w tem nic obrażającego.

— Dlaczegóżby nie? niewiele coprawda, lecz przecie Oktobra znajdzie zawsze kąt rodzinny, przy mnie i pani Elmer. Sam Bóg rozkazał przytulać sieroty. Przyczyniła nam wprawdzie niemało wydatków, szkoły, suknie, a teraz to wesele. Musiałem to wszystko wziąć w rachubę przy układaniu testamentu.

Pan Pfejfer odetchnął głęboko.

— Pański legat jest niepewny, jak również dziedzictwo Oktobry; a kiedyż ślub?

Na te słowa jakaś myśl jasna, niby promyk wiosenny, rozpogodziła kanciaste rysy pana Elmer.

— Dziś wieczór; dlatego właśnie przyjechałem do pana, pani Elmer mi to doradziła. „Za dolara“ mówi, notarjusz ci powie, co i jak — i będziesz raz wiedział, czego się trzymać. Ładniebym wyglądał, gdyby po ślubie Oktobry okazał się jakiś kruczek w testamencie.

— Oktobra ma poślubić Sama Wasser?

Pan Elmer skinął głową, a oczy jego pobiegły ku oknu, przez które widzieć mógł wózek swój dwukołowy i chudą jak szkielet szkapę, która go tu przywiozła. Szkieletowate to bydlę pożerało chciwie siano naładowane na wozie drabiniastym, ustawionym niebacznie przed jego pyskiem.

— Tak! Sam jest dzielny chłopak — rzekł Elmer. Żuł jakiś czas w milczeniu, poczem znów zaczął:

— Oktobra jest trochę narwana, nie co się tyczy Sama, ale tak wogóle. Uparta jak stara mulica, czasem poprostu zwarjowana. Wystaw pan sobie, potrafi bo skoczyć na obmurowanie studni i krzyczeć: „Skoro mnie tkniecie, rzucam się w wodę“. Zepsute jest to młode pokolenie przez wychowanie. Mój ojciec batożył nas bez różnicy, chłopców i dziewczęta. Powiedz pan sam, jestem czy nie jestem jej opiekunem? Pani Elmer nawet przyznaje, że Oktobrze przydałaby się rózga, lecz jakże tu oćwiczyć dziewczynę, która skacze na studnię i wrzeszczy: „jeśli mnie tkniesz, skoczę do środka!“ Przecież to byłoby samobójstwo, najgorszy występek, o którym nawet mówić jest zbrodnią; jest to przecież jakgdyby wyzwanie rzucone Opatrzności. Taką jest Oktobra. Zrobi każdą rzecz, lecz tylko tak, jak sobie sama umyśliła. Sam jest porządny, dobry chłopak. Stary Wasser ma prócz sklepu, parcelę budowlaną i dwa domy czynszowe w Ogdenburgu, a Samuel ma też trochę grosza. Nie mówię, żebym pochwalał zarobki osiągane kosztem zbydlęcenia ludzkości, jakie sprowadza przemycana wódka, lecz pieniądz sam w sobie jest dobrą rzeczą.

Notarjusz poddał milczącej analizie tę pobieżną charakterystykę, ujemnych cech Oktobry i cnót Samuela i wysnuł z niej wnioski, nie całkiem pomyślne dla zamierzonego związku.

— Tak panie! — ciągnął dalej pan Elmer. — Oktobra twarda jest jak krzemień i na serce jej nigdy nie spłynął strumień łaski, choć Bóg jeden wie, ileśmy modłów odprawili, aby Niebo zmieniło jej zły charakter, nie mówiąc już, że wielebny pastor Stevens słał za nią osobne modły. Nic nie pomogło; ale bo też szatański duch przenika te dzisiejsze szkoły.

Nastało milczenie; pan Elmer żuł zawzięcie, a z ruchu jego warg przenikliwy pan Pfejfer wyczytał słowa: „Oktobra, ciężki kłopot i pieniądze“. Lecz wnet pan Elmer powrócił do mowy dostępnej uszom.

— Z Oktobrą, widzi pan, nigdy niewiadomo. Możesz jej pan naprzykład powiedzieć: Oktobro, dziś będzie na obiad pasztet z drobiu, ona mówi „dobrze“, a potem gdy jej podadzą przy obiedzie to danie, ona wtedy: „Dziękuję, nie jadam pasztetu z drobiu“. I tak we wszystkiem. Nigdy z nią niewiadomo, póki się jej nie poda pasztetu na półmisku.

Pan Elmer popadł znów w przeżuwające milczenie; myśl jego powracała widocznie do testamentu. Z ruchu warg jego pan Pfejfer wyczytał słowa: „Renta“, „piekielny charakter“ i tem podobne słowa.

— Zawiele sobie pozwala; choćby to chodzenie z papierosami w ustach po Main Street, mimo, że prosiłem ją tyle razy, a i pani Elmer zaklinała ją, nieledwie na klęczkach. Jednak dziś znów to zrobiła.

— Jaka w tym była myśl? — pozwolił sobie zapytać pan Pfejfer. — Chcę mówić o testamencie. Dlaczego tylko reszta? dlaczego „małżeństwo?“, dlaczego „przed dwudziestym pierwszym rokiem“.

Pan Elmer spojrzał na niego z urazą.

— Jenny wierzyła, że wczesne małżeństwo jest dla dziewczyny dobrą rzeczą. A psalmista mówi....

— Tak, tak! — przerwał trochę niecierpliwie pan Pfejfer — wszyscy wiemy, co psalmista mówi; lecz zdaniem mojem, król Dawid nigdy się nie nadawał na wychowawcę w szkółce niedzielnej. Zamiary pani Jones dla córki byłyby zrozumiałe, gdyby nie te zastrzeżenia. Wygląda to trochę na odszkodowanie dla pana za odebranie mu opieki nad Oktobrą.

Przenikliwe oczy notarjusza spojrzały w twarz pana Elmera, lecz ten godny i sumienny człowiek wolał odwrócić oczy w stronę okna. Jeśli zrozumiał propozycję, nie przyjął jej.

— Wygląda to — ciągnął dalej pan Pfejfer, jakby ten humbug z resztą mienia, które właściwie nie istnieje, było przynętą dla ewentualnego aspiranta do ręki panny Jones. „Resztę mego mienia“, to brzmi bardzo wspaniale, lecz o ile wiem panie Elmer, reszta ta składa się z dziesięciu morgów bagna i lichej chałupy, w której żaden żywy człowiek nie chciałby zamieszkać. Słowem warte to najwyżej 500 dolarów. Rzekłszy to przechylił głowę na bok i spojrzał pytająco.

— Dwa tysiące pięćset dolarów — mruknął pan Elmer; — sprowadziłem specjalistę z Ogdenburga dla oceny: mówił, że nowy kanał do jeziora przejdzie przez tą posiadłość. Ile jestem panu dłużny, panie Pfejfer?

Pierwszym odruchem notarjusza było odrzec: „Nic“, lecz rozmyślił się.

— Dziesięć dolarów — rzekł krótko, wywołując odruch odmowny swego klienta. Zapłacił jednak co do grosza, acz niechętnie, a gdy był już u drzwi, nowa myśl przyszła notarjuszowi.

— A cóż będzie, panie Elmer, jeśli Sam nie zechce się żenić; w ostatnich czasach zaczął przybierać pewne tony i ma dużo więcej pieniędzy, niż mieć powinien.

Pan Elmer odchrząknął z niezadowoleniem.

— Zaproponował je; Sam jest chłopak energiczny. Zrobił pieniądze na poważnych transakcjach rolnych.

— Jakich? Znam na wylot wszystkie transakcje, dokonywane w okolicznych dobrach; nigdzie nie spotkałem nazwiska Sama Wassera.

Pan Elmer był już za drzwiami, odwrócił się jednak, by rzec:

— Myślę, że deszcz nie przeszkodzi nam zwieść zboża. Być może, powierzę panu spisanie nowego kontraktu dzierżawnego z Orsonem Klark. — Rzuciwszy ten obiecujący projekt, wyszedł.

Pan Pfejfer widział go wsiadającego ciężko na wózek i odwiązującego lejce. Ostatnia uwaga notarjusza nie przeszła bez wrażenia, dotknął on drażliwego punktu, napędzając panu Elmerowi panicznego lęku, do którego nie brakło mu podstaw.

Dajcie psu niewłaściwe imię, a możecie go odrazu powiesić. Dajcie człowiekowi, mężczyźnie, a gorzej jeszcze kobiecie, imię, które nie jest Marja ani Janina, lecz czemś z zupełnie przeciwnego brzegu, a osoba tak nazwana, ściągnie na siebie niezawodnie wszystkie cechy słabości, związane w nieuchwytny sposób z jej imieniem. Ci, którzy nazwali Oktobrę panną Jones, byli już w krainie ziemi, choć jedno z nich żyło dość długo, by poznać swój błąd. Oktobra, pod wpływem subjektywnych i objektywnych przyczyn, próbowała nieraz i przy różnych okazjach wystylizować jakoś inaczej swoje miana. Podpisywała się jako Doris Mabel, Marja Wiktorja, Glorja Wenda, a w szkole przezwała się Wirginją Ginewrą. Wybrała to imię przed wyjazdem i wyznaczyła niem wszystkie kuferki i torby podróżne: W. G. I.

— Myślę, że powinnam pozbyć się i rodowego nazwiska Jones — rzekła w zamyśleniu, spoglądając niechętnie na swój inicjał I. To nazwisko brzęczy mi natrętnie w uszach — przywodzi na pamięć starego majtka o krzywych nogach.

— Obawiam się, że masz słuszność, — odrzekł jej ojciec.

Ojciec Oktobry był człowiekiem wysokim, o zapadłych policzkach i długiej brodzie. Dzieci nie lubił, Oktobra męczyła go. Miała zwyczaj, wykradać rzadkie książki z jego bibljoteki i zostawiać je pod stosem drzewa, lub w krzakach w ogrodzie, słowem w jakiembądź miejscu, gdzie ją deszcz zaskoczył.

— „Jonek“. Nie jest to zbyt piękne nazwisko, czy nie mógłbyś go zmienić na Daddy?

Pan Jones westchnął i potarł sobie nos szyldkretowym nożykiem.

— Nazwisko to zadowolniało ojca mego, dziada, pra dziada i niezliczoną ilość ich przodków.

Ściągnęła brwi, usłyszawszy to.

— Kim był pierwszy Jonek? — rzekła, — chciałabym znać biologiczny proces tego początku, myślę, że Jonesowie wyłonili się ze swej protoplazmy... i współcześni.

— Współcześnie — poprawił ją pan Jones, — oducz się tego przekręcania przysłówków.

— A co ojciec myśli o Wirginji? Wszak to niebrzydkie imię.

Oktobra nie miała w sobie nic październikowego, bo październik jest czerwono bronzowym miesiącem, ona zaś miała oczy kwietniowe, a włosy koloru żniw, pozatem była biało-różowa. Miała przytem osobliwy zwyczaj, wytrącający ludzi z równowagi, patrzenia im prosto w oczy. Określano to jako prowokacyjny cynizm, gdy w gruncie było to tylko przejawem płomiennej ciekawości i chęci poznania. Co się tyczy jej moralnego charakteru? Panna Washburton Flemming, dyrektorka przygotowawczej szkoły dla dziewcząt, pisała do jej ojca co następuje:

„Chciałabym zwrócić uwagę szanownego pana, na pewien rys charakteru Oktobry, który może uszedł pańskiej uwagi. Jest nim intensywny romantyzm, po-

łączony z egzaltacją, który zawieść ją kiedyś może na drogę pożałowania godną. Bardzo to jest smutne, że to drogie dziecko pozbawione było nieoszacowanego skarbu miłości matczynej. W każdym razie jest teraz cokolwiek więcej opanowania, niż w chwili, gdy oddano ją pod naszą opiekę; ale..."

— Ile tego jeszcze? — sarknął Stedman Jones, a gdy rozwinąwszy list, zobaczył trzy bite ćwiartki gęsto zapisane i dwie dodatkowe, zawierające przypiski, upuścił list na podłogę. Nie interesowały go ani trochę romantyzm Oktobry czy jej egzaltacja. Mniemał, że nie poto wypłaca regularnie miesięczną należność za jej wychowanie i wszystkie zdumiewające „ekstra", aby ludzie pisywali do niego tego rodzaju listy. Na szczęście nie potrzebował kupować jej sukien, bo miała po matce własny dochód, pochodzący z nieruchomości i kapitałów administrowanych przez wuja hreczkosieja, z którym spotkał się tylko dwa razy w życiu, to znaczy dwa razy tylko z nim się poróżnił. Stedman Jones był bibljofilem, autorem książki o średniowieczu francuskiem, a gdy Oktobra przyjeżdżała na wakacje, był w pogodnym nastroju tylko w ostatnim tygodniu jej pobytu, poprzedzającym jej powrót do szkoły. Co do Oktobry nikt niestety nie chciał ją zwać Wirginją, Aliną, ani Ginewrą, jedyny rozsądny przydomek, jaki nadano jej z czasem, był Huit. W innych czasach byłaby może Joanną d'Arc; sprawy bowiem zgóry przegrane, miały dla niej nieprzeparty powab. Była zkolei w wyobraźni, wojującą socjalistką, działaczką wszechświatową, anarchistką, lub żarliwą chrześcijanką. Gdy ktoś stawał na drodze w jej pogoni za tęczowym ideałem, stawała się straszna. Sprzeciw się jej, to umocnisz ją tylko w jej postanowieniu, wzbroń jej czego, a poleci bosemi stopami po rozpalonej do czerwoności drodze, wiodącej do upatrzonego celu.

Ojciec jej umarł w drugim roku jej pobytu na pensji w Mac Cubes. Dwa dni spędziła Oktobra, próbując się smucić, próbując przypomnieć sobie coś, coby go jej zrobiło bliższym i drogim, trzeciego jednak dnia wyznała dyrektorce, która pocieszała ją konwencjonalnem odsyłaniem do źródła wszelkich pociech, że nie udało się jej wzbudzić w sobie żalu.

— Niema nic szczególnie drogocennego w ojcach i matkach, rzekła stanowczo ku rozpaczy czcigodnej lady. Daje się ludziom to tylko, co oni nam dają, i rodzice wtedy tylko są drodzy, gdy kochają swoje dzieci, w przeciwnym razie są to zwykli państwo Jones lub Hobson i nic więcej. Próbowałam się smucić z powodu Daddy, lecz jedyna łza, którą wylałam, przyszła mi, gdym pomyślała, że jestem sierotą. Jest coś niezmiernie żałosnego w pojęciu sieroty. Panna Flemming próbowała wygładzić tak niebezpieczne kanty.

— Twój ojciec, moja droga, pracował na ciebie i dawał ci wygodne home, kupował wszystko, czego potrzebowałaś i płacił za ciebie szkołę.

— Wsadzonoby go do więzienia, gdyby tego nie robił. Bardzo mi przykro, panno Flemming, lecz wyrobiłam sobie na ten temat własny punkt widzenia i nie widzę narazie innego.

Ojciec jej nie miał nigdy pieniędzy, nie mógł więc nic jej zostawić, dowiedziała się o tem od dużego niewyszukanego Andrzeja Elmer. Ojciec jej miał tylko rentę dożywotnią, która skonała wraz z nim. Pan Elmer, którego słabo pamiętała, był jej wujem, to znaczy szwagrem jej matki i jedynym egzekutorem jej testamentu, przypadkowo zaś obecnie opiekunem jej i niechętnie goszczącym ją gospodarzem. To nagłe przesiedlenie z ruchliwego Mac Cubi, do zacisza spokojnej fermy „Czterech buków", dało jej zrazu złudzenie zmiany na lepsze; było to jakby przejście ze wzburzonych wirów na ciche wody, lecz już po upływie dwudziestu czterech godzin, ciche wody przybrały postać wód stojących, zamulonego stawu, porastającego zieloną pleśnią; pani zaś Adelajda Elmer była słabem odszkodowaniem za przerwany kontakt ze światem. Oktobra nie zbuntowała się, bunt był normalnym stanem jej duszy, dzikość tygrysa nie wzmaga się przy zmianie klatki, lecz nowy dozorca, który znał dotąd tylko domowe koty, uczuł się znieważony, gdy powierzony mu drapieżnik szczerzył zęby zamiast mruczeć radośnie.

Mądra panna Flemming, przeplatając kolejno krańcowy ateizm z żarliwą pobożnością, osiągnęła w ten sposób podziwu godzien poziom duchowej doskonałości, pani Elmer brakowało podobnych zalet. Była całkowicie po stronie niewzruszonego braku miłości, wytresowana w szkole do bezwzględnego posłuszeństwa rodzicom, ślepej wiary w doktryny i absolutnej niemocy dzieci wobec starszych. Wezwała dla poskromienia Oktobry wielebnego Stewensa, który nadszedł w pewną sobotę, niosąc w swych dużych rękach trzy małe książeczki, zawierające rady duchowne. Osobistość jego nie wywarła jednak żadnego wrażenia na Oktobrę, bo też coprawda, człowiek ten otrzymał wychowanie bardzo jednostronne, które pozostawiało w charakterze jego luki, które tylko wrodzona dobroć lub wielkie wyrobienie towarzyskie mogły wypełnić.

— Posiada on wszystkie trony i obrazy teologiczne, lecz niema dywanu i je palcami, orzekła w przenośni Oktobra. Lecz pani Elmer wzięła rzecz dosłownie i stężała z oburzenia.

— Nadzwyczaj porządny człowiek, a posługuje się widelcem i nożem, nie gorzej od ciebie, Oktobro — zawołała podniesionym głosem, przechodzącym w piskliwy falset w chwilach wzburzenia; nie słyszałam nigdy obrzydliwszego kłamstwa.

Oktobra nie przeczyła, nie wdawała się nigdy w polemikę tam, gdzie nie nastręczała się sposobność do walki o zwycięstwo. Skoro pan Elmer zaproponował jej trochę nieśmiało małżeństwo, przyjęła tę propozycję z niespodziewanym spokojem.

— Doprawdy? — spytała — a kogoście wyszukali?

Pan Elmer powściągnął w sobie niezmyśloną ochotę skarcenia jej za nieprzyzwoitą obojętność, jaką okazała.

— Mówiłem z Leonem Wasserem — zaczął.

Następnego dnia przedstawiono jej Samuela. Ten zachował się z doskonałą pewnością siebie i zabawiał ją we właściwym sobie stylu. Oktobra słuchała go ze spuszczonemi oczyma, a gdy odszedł, spytała:

— Czy ten młody człowiek zna coś lub kogoś prócz siebie?

Pan Elmer nie rozumiał.

Samuel Wasser przynosił jej cukierki, kwiaty, smażone owoce i anegdoty, które ukazywały w bohaterskiem świetle jego dowcip i ciętość odpowiedzi. Opowiadania jego naszkicowane były słowami: „Wtedy ja rzekłem do Freda", lub „Gdy Edy powiedział to do mnie, ja mu na to", a kończyły się niezmiennie słowami: „Myślałem, że umrę ze śmiechu". Oktobra spytała go

wreszcie, czy widział kiedy kogo konającego w tych warunkach. Zmieszał się cokolwiek.

— No! właściwie nikt nie umarł, lecz przecie wiesz, co przez to rozumiem.

Powrócił do domu w tym dniu, owiany chmurą zwątpień. Razu pewnego, gdy siedzieli we dwoje na ganku, w ciepłą noc czerwcową, stał się sentymentalnym i próbował ją pocałować. Było to jego prawem, jak się później tłumaczył. Nie było z tego powodu żadnej walki, ani ust, któreby szukając jej ust, napotkały uszko, a tylko Oktobra odsunęła swą wysportowaną rączkę, prosząc, żeby nie był głupi.

Nie wyznaczono dnia ślubu, aż nagle stary Elmer zapowiedział, że skutkiem klauzuli w testamencie, ślub ten ma się odbyć w dwudziestą pierwszą rocznicę urodzin narzeczonej. Wiadomość ta, która wstrząsnęłaby każdą inną dziewczyną, nie sprawiła wrażenia na Oktobrze. Skoro powiedziano jej to na tydzień przed ślubem, rzekła tylko:

— O! czy tak?

Sam odbył naradę z ojcem, na skutek której zamówił wspaniały apartament, w hotelu romantycznie położonym, nad brzegiem Oswegatchie.

Tak stały rzeczy, gdy Elmer zasięgał porady notarjusza, który potwierdził najgorsze jego obawy. Gdy wyszedłszy z biura pana Pfejfera, wsiadł do swego bogeja, stary myszaty koń ruszył z własnego popędu po znanej drodze. Wózek zataczał się co chwila w jedną to drugą stronę, jakby napotykając wciąż niewidzialne przeszkody, a pan Elmer podskakiwał w siedzeniu, lustrując bystrym wzrokiem ulice. Stary Wasser stał właśnie przed swym hurtownym magazynem, podczesując włochatą ręką swą szpakowatą czupurynę. Ośmioboczne okulary zsunęły mu się na koniec nosa, a długa jego szczęka miała wyraz bojowy. Drugą wolną ręką gestykulował wyraziście, podkreślając wypowiadane zdanie; naprzeciw niego stał Sam, w postawie uważnego słuchacza. Sam był poważny, lecz nie powagą młodzieńca, który jest przedmiotem surowych upomnień, lecz jak solidarny partner, podzielający opinję swego rozmówcy. Gestykulująca ręka starego Wassera opadała jak pięść, szukając celu dla wymierzenia ciosu, Sam skłonił się, przytakując. Pan Elmer chrząknął; robił to zwykle, gdy był czem zmieszany, potem zatrzymał bez trudu swą myszatą szkapę przed drzwiami magazynu.

— Mówiłem właśnie Samowi — zaczął stary Wasser — że dzień dzisiejszy nie wygląda wcale na dzień weselny, całkiem jakby w czasie kampingu, przypomniał sobie człowiek nagle w godzinie obiadu, że to niedziela. Tak, całkiem to nie wygląda na dzień ślubu mojego Sama.

Sam potrząsnął głową; on bo czuł trochę inaczej, niż zwykle, był bowiem zdenerwowany, skłopotany i czuł się nieszczęśliwy.

— To powinno jakoś inaczej wyglądać — obstawał przy swojem Wasser senjor, zwracając się do człowieka w bogeju. — Powinno się czuć jakieś podniecenie, powinno być całkiem inaczej w takim dniu, jestem tego pewien.

Kiwali głowami obaj z synem.

— Nie rozumiem, co to ma do dnia — zaczął Elmer.

— Poczucie; chodzi o samopoczucie — odrzekł Wasser, uderzając się w piersi. Powinieneś mieć rozum, Andrzeju, powinienbyś postawić się na mojem miejscu. Sam, to mój syn jedyny, mamże pozwolić, by zmarnował sobie młode życie. A Oktobra? Dziś w dzień swego ślubu chodziła po ulicy nie dalej jak przed godziną z papierosem w ustach; wszyscy to widzieli; każdy ją zauważył; stary doktór Winner i miss Selby i ludzie z Linsbourg house. A Sam? Powiedz, co ci powiedziała dzisiejszego rana?

Sam wystąpił z pod ściany na pierwszy plan.

— Powiedziała mi, że w jej oczach jeden mężczyzna wart drugiego, że wyszłaby za pierwszego lepszego włóczęgę, jak wychodzi za mnie; że mnie nie kocha i nie ma żadnych predylekcji, lecz zgadza się, bo każda dziewczyna musi raz zacząć, więc może i ze mną.

Pan Elmer westchnął głęboko.

— Chciałbym, żeby zobaczyła włóczęgę, z którym rozmawiałem dziś przed paru godzinami; zmieniłaby, jak sądzę, zdanie — mówił Sam, zachęcony uwagą swych słuchaczy, co go robiło wymownym. — Odpowiedziałem jej, że nie takie słowa pragnąłbym słyszeć z ust dziewczyny, która nosi na palcu mój zaręczynowy pierścionek. Wówczas zdjęła z palca pierścionek i rzuciła nim we mnie. Powiedziała, że nie ma zamiaru stawiać granic swej... (jak to ona powiedziała) swej indywidualności, za pięćdziesiąt dolarów, wydanych w najgorszym smaku.

— Chr, chr... — chrząknął pan Elmer, podczas gdy twarz Samuela Wassera promieniała triumfem.

— Powiedziała — ciągnął dalej Sam — że może zmieni zdanie, lecz teraz nie jest pewna. To dotyczyło jej gadania, że jeden mężczyzna wart jest drugiego, z jej punktu widzenia.

— Sam ma pierścionek w kieszeni — oznajmił Wasser.

— Oktobra jest jeszcze młoda — rzekł szybko Andrzej Elmer. — One wszystkie są takie, dopóki się nie wyrobią. To całkiem naturalne. Mimo to zawsze mówiła dobrze o Samie, zanudzała mnie nim poprostu. Sam to, Sam tamto i tak od rana do nocy, lecz jest dumna i lubi ukrywać swoje uczucia.

— Żałuję, że nie ukryła tych, o których mówiła dziś ze mną — odrzekł Sam, nie całkiem przekonany, lecz jako mężczyzna i człowiek młody, skłonny uwierzyć w ukryte uwielbienie, którego był przedmiotem. Spojrzał na ojca; uśmiech znikł z twarzy pana Wassera. Wyglądał teraz posępnie i nieswojo.

— Powinniśmy odroczyć to małżeństwo, Andrzeju, niema powodu śpieszyć się; dajmy młodym miesiąc czasu do namysłu. — Bronił się niezbyt natarczywie, bo Andrzej Elmer był w swojem prawie; miał ukryte powody, dla których pragnął tego małżeństwa, a w każdym razie był przeciwnikiem, którego nie należało lekceważyć.

— Nie czuję wcale atmosfery weselnej, Andrzeju! Żadnego ruchu, całkiem jak ślub sekretny — tak nie wypada.

Pan Elmer ujął lejce, mniemając, że nadszedł moment psychologiczny.

— Jeżeli ty i Sam nie przybędziecie do fermy Czterech Buków dziś o godzinie dziewiątej, mam dość na to zdrowego sensu, bym nie miał wiedzieć, że się wycofujecie — rzekł posępnie, podnosząc bicz nad grzbietem myszatej kobyły. „W każdym razie“ przeżuwał w milczeniu — „uniknąłem konieczności mówienia o finansowem położeniu Oktobry“.

W chwili, gdy skręcał swym wózkiem na skrzyżowanie drogi, nadjeżdżał zwolna naprzeciw niego długi samochód; mijając go Elmer, rzucił nań ukośne spojrzenie i ujrzał przy kole człowieka o chudych policzkach,

prawdopodobnie Anglika, jak miarkował z monokla. Samochód miał kanadyjską markę. Cudzoziemcy byli rzadkością w Littlebourgu, toteż Elmer obejrzał się za samochodem i widział, że się zatrzymuje przed hotelem Berghouse. Po chwili wysiedli z niego dwaj ludzie, również obcy. Jeden z nich wysoki i barczysty, miał krótką rudą brodę, drugi mały i tłusty, obdarzony twarzą znacznie szerszą, niż długą, której szerokość podkreśloną jeszcze była czarnemi jak węgiel brwiami i również czarnemi krótkiemi wąsami. Gdy szli obok siebie, mały sięgał dużemu ledwie do ramienia. Zaszczycili Elmera krótkiem spojrzeniem i weszli do hotelu. „Littlebourg ożywia się" — rzekł do siebie pan Elmer. Miał on duże interesa w Littlebourgu, sąsiadując z miasteczkiem, cieszył go więc każdy objaw zwiastujący w nim ruchliwość i rosnącą popularność tego grodu.

Dwaj nieznajomi weszli do hotelu precyzyjnym żołnierskim krokiem, nie przemówiwszy słowa, natomiast chudy szofer wdał się w rozmowę z portjerem. — Ubrany w długi płaszcz od kurzu, przystojny był, choć twarz i rysy miał trochę za drobne i włosy zbyt gładko przylepione. Był stanowczo Anglikiem, co zdradzał jego akcent.

— Macie tu straszne drogi — mówił żywo; — czy niema tu jakiej uczciwej szosy do Ogdensburga?

Dwaj podróżni zatrzymali się na chwilę, słuchając co mówi szofer, poczem weszli na piętro. Wówczas człowiek o piaskowych włosach, drzemiący w jednym z tuzina foteli, stojących w halu, otworzył jedno oko, gdy przechodzili mimo, przeciągnął się, otrząsnął popiół z wypalonego cygara i poszedł za nimi po schodach. Wiedział widocznie, gdzie mieszkają, bo zapukał odrazu do drzwi numer 7, na co głos z wnętrza warknął:

— Proszę wejść.

— Dzień dobry, chłopcy! — rzekł łaskawie, pozdrawiając obu z taką pewnością siebie, że nie potrzebował odchylać klapy tużurka, by ujawnić wpięty pod nią srebrny znaczek tajnego agenta. — Dowiedziałem się, że jesteście tutaj; czy na długo?

Rudobrody wychylił resztę wody ze szklanki, którą podnosił do ust w chwili wejścia detektywa, wytarł starannie wąsy jedwabną chusteczką i dobył z kieszeni cygaro.

— Ja i mój przyjaciel zatrzymaliśmy się tu na krótko, aby się rozejrzeć; jedziemy do Filadelfji nocnym pociągiem.

— Czy nie tak, Lenny? — rzekł, szukając oparcia u przyjaciela.

— A no tak — mruknął Lenny.

Człowiek o piaskowych oczach zapalił cygaro.

— Nasz szef polecił mi przesłuchać was — rzekł uprzejmie — choć, być może, nie wiedzieliście, żeśmy dojrzeli wasze przybycie — Littlebourg, małe nędzne miasteczko, faktem jest, że możecie tu zamrzeć z głodu. Ogdenburg też niewiele dla was wart, policja właśnie świeżo robiła tam obławę, a szczególnie źle są usposobieni dla gości, co się zbytnio szastają. Nasz stary rozmówił się telefonicznie z ich szefem i obaj uradzili, że powietrze w Ogdenburgu niezdrowe jest dla was.

— Filadelfja — rzekł wtedy Rudobrody — i to na krótko jedziemy do siebie do Utyki.

— Pięknie! — rzekł człowiek o piaskowych włosach, lecz jako sceptyk z natury i wychowania, dodał jeszcze:

— A nie macie tam jakiej broni, chłopcy?

Rudobrody rozpostarł szeroko ręce, na znak, że pozwala się obszukać. Detektyw wykonał to, zrewidował obu i nie znalazł żadnej śmiercionośnej broni.

— To pięknie — powtórzył — więc spotkamy się na peronie dziś o dziewiątej.

— Bezwątpienia — upewniał pogodnie Rudobrody.

Agent wyszedł do sieni, aby telefonować, przez ten czas angielski szofer ulotnił się.

— Taki gość — skarżył się portjer agentowi — nie wie już sam, czego żądać, zachciewa się jaśnie lordowi nowej szosy.

— Anglik? — spytał detektyw.

— A właśnie... — odparł portjer.

— W godzinę potem Rudobrody i jego przyjaciel zeszedłszy na dół, aby się przewietrzyć, stali się w sieni świadkami ciekawej sceny. Gromadka podchmielonych młodzieńców Littlebourgskich okrążyła młodego człowieka, mocno zakłopotanego tą owacją i śpiewała mu jakąś obelżywą piosenkę. Rudobrody dorozumiał się z rymów, ułożonych widocznie przez miejscowego wieszcza, że okrążony gentleman jest u progu wejścia w związek małżeński.

Samuel Wasser podły sknera
Dusi w piwnicy mocny trunek
Do godów ślubnych się zabiera
A nie chce wypić na frasunek.

Keksów weselnych druhom skąpi
Żałuje braciom flaszki wina
Samuel Wasser sknera podły
Samuel Wasser podła świnia.

Powtarzali chórem ostatnie dwa wiersze, wykonując dokoła niego dziki wrzaskliwy taniec.

Wreszcie koło przerwało się, przetwarzając się w niemniej hałaśliwą grupę.

— Takim jesteś, Samie, takim jesteś.

— I wyście nie lepsi... Chodźcie do mego mieszkania.

Banda skierowała się ku wyjściu, a wtedy pan Bennett, właściciel Berghousu, zatarł ręce i twarz jego przybrała wyraz pogodny, po raz pierwszy od chwili, gdy rozhukane młokosy wtargnęli do jego hotelu.

Apartamenta Sama Wassera mieściły się nad garażem jego cierpliwego kuzyna. Sam dawał tam niekiedy kawalerskie przyjęcia i miał w swem mieszkaniu liczne skrytki, gdzie przechowywana była drogocenna kontrabanda alkoholowa i szafka z garniturem kieliszków i szklanek. Pod koniec hulanki, Sam wygłosił projekt.

— Słuchajcie, chłopcy... mam pomysł. Tam w lesie, widziałem człowieka... Człowiek... uważacie... ze świata — z szerokich przestworzy. Taki uważacie, co nie łyknął może od lat całych mocnego trunku. Chodźmy chłopcy — wypijmy braterstwo z człowiekiem szerokich przestworzy. Chodźmy!...

III.

Pani Elmer zaglądała co chwila do pokoju Oktobry; poczytywała sobie za obowiązek rozbudzić w tym dniu w swej siostrzenicy poczucie odpowiedzialności, lecz jak dotąd bez skutku.

— Złamałabyś serce każdemu, choćby je miał z kamienia — mówiła gorzko.

Pani Elmer była kobietą straszliwie chudą, o twarzy całej w ostrokątach, obejście miała stale kwaskowate.

— Co mam ci zapakować, Oktobro? Nie powiedziałaś nawet, co chcesz z sobą zabrać.

Oktobra odłożyła książkę i utkwiła wzrok zamyślony w chudą lady.

— Cokolwiek; to co jest potrzebne młodej mężatce. — Był to pierwszy odruch niejakiego zainteresowania przyszłem małżeństwem.

— Może włożysz błękitną atłasową suknię; pan Elmer mniemał, że ponieważ ślub będzie cichy, szkoda było marnować pieniądze na fatałaszki.

— Wielki Boże, któż mówi o fatałaszkach? — rzuciła obojętnie Oktobra. — Niech pani zapakuje, co pani zechce, pani Elmer, byle nie zawiele, żebym nie miała kłopotu z odpakowaniem.

— Czy nie mogłabyś sama coś zrobić — spytała, doprowadzona do ostateczności pani Elmer.

— To niech pani wcale nie pakuje — odrzekła Oktobra, powracając do swej książki.

Kolację spożyła sama w swoim pokoju, czytała przy świetle naftowej lampy, z głową opartą na ręku, gdy pani Elmer wkroczyła gwałtownie w godowej czerni.

— Wielebny Stevens już przyszedł — szepnęła uroczyście, jak gdyby tego rodzaju wiadomość nie mogła być wygłoszona normalnym głosem.

Oktobra odłożyła książkę, zaznaczyła starannie miejsce, w którem przerwała czytanie i przesunęła odruchowo rękę po włosach.

— Czego chce? — spytała głosem zdumionym.

Pani Elmer wstrzymała się od wybuchu.

— Wychodzisz zamąż, tak? czy nie? — spytała z tłumionym gniewem.

— A!... to...

Długa bawialnia w fermie Czterech Buków była najposępniejszą izbą, jaką sobie można wyobrazić, lecz dziś użyto wszystkich kwiatów ogrodu dla upiększenia jej, a kwiaty te oblekły ponury pokój w piękno i pewną dostojność, której Oktobra nigdy tu wpierw nie dostrzegła. Pan Elmer w swym odświętnym garniturze i wielebny Stevens w pogrzebowej czerni, przedstawiali się jako figury niezmiernie uroczyste.

Podobnie wyglądali: Jonny Woodgers, pomocnik gospodarczy i jego żona i Art Tingle, urzędnik z banku fermerów i Marta Dimmock, wdowa, najbliższa i najserdeczniejsza przyjaciółka pani Elmer. Napróżno Oktobra szukała oczyma Sama.

— Czemu nie włożysz błękitnej sukni — szepnęła pani Elmer — ta wygląda za wesoło.

— Czuję się wesoła — odrzekła głośno Oktobra.

Wielebny Stevens szeptał na stronie z panem Elmerem, a gdy ten wyszedł, pan Stewens uznał, że nadeszła jego godzina i wystąpił na środek bawialni, przybierając postać taką, jakby się znajdował w pokoju świeżo zgasłego nieboszczyka.

— Odpłyniesz za chwilę na falę nowego życia — rzekł do Oktobry — wnijdziesz na nową drogę, która domagać się będzie od ciebie wykonania wszystkich cnót chrześcijańskich.

— Gdzie jest Sam? — przerwała mu Oktobra — chciałabym przyjrzeć mu się lepiej, zanim się zdecyduję.

— Zaraz nadejdzie.

Pan Stevens był zmieszany; Oktobra zawsze wytrącała go z równowagi, musiał w samej rzeczy odwoływać się do wszystkich cnót chrześcijańskich, gdy wchodził z nią w kontakt. Prawdę mówiąc, nie cierpiał jej serdecznie. Przewidywał już chwilę, gdy przejdzie na luteranizm, który wyznawali Wasserowie.

— Odpłyniesz na nowe fale — zaczął znów.

W tej chwili od strony wejścia dał się słyszeć gwar wrzaskliwych głosów, który się wzmagał; słychać było także głupowate wybuchy śmiechu.

— Wstępujesz na nową drogę, powtarzam, gdzie znajdziesz jednego tylko przewodnika, w najważniejszych i najbłahszych sprawach. — Tu krzyki stały się tak głośne, że musiał przerwać.

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i ukazał się w nich pan Elmer, idący tyłem i wymachujący gwałtownie rękami; za nim stary Leo Wasser, w długim surducie, bardzo czerwony i mówiący podniesionym głosem. Za obu starszymi panami pchał się Sam Wasser ze swoją bandą. Sam wywijał laską z uwiązaną na końcu szmatą, która służyła mu za flagę, podobnie jak jego towarzysze, był bez kapelusza i nosił na sobie ślady świeżej bójki.

— Tu! tu! dawajcie go tu! Z drogi!

To ostatnie odnosiło się do ojca, który mu wzbraniał wejścia. Potem wśród chóru głosów, który go podtrzymywał, zaczął wrzeszczeć:

— Masz, czego chciałaś, Oktobro Jones! Novembro Jones! Decembro Jones!... Masz tu, to, czego chciałaś.

W tej chwili dopiero Oktobra ujrzała włóczęgę, którego banda Sama wypchnęła przed nią. Stał niepewnie, zasłaniając się. Oczy miał szkliste, twarz dziką. Ktoś zerwał z niego kurtkę, z której pozostał jeden tylko rękaw.

— Przykro mi — rzekł, z trudnością obracając językiem.

„Przykro?“ To jedno słowo zdecydowało Oktobrę. Spojrzała na niego uważniej. Do tej chwili przeniknięta była nawskroś wściekłością i pogardą.

Tu pan Elmer zapanował na chwilę nad ogólną wrzawą.

— Co to ma znaczyć? — ryknął. — Czy to ma znaczyć u djabła? Hej! cóż to za idea! Precz stąd opoje!

— Idea? — Sam wystąpił zuchwale naprzód. — Chciała wyjść za włóczęgę, mówiła, że woli... ma tu włóczęgę; niech wyjdzie za niego, niech go poślubi. Ot co.

Twarz Oktobry Jones przybrała nieopisany wyraz przewyższający zrozumienie tych, którzy byli świadkami tej sceny.

— Poślubię go.

Robin włóczęga patrzył na nią osowiałym wzrokiem.

— On jest pijany — rzekł ktoś z tyłu; poczem nastąpił głupi śmiech. — Nie chciał pić, aleśmy go gwałtem napoili. Zwaliliśmy go na ziemię i wleliśmy mu w gardło.

— Wleliśmy w gardło, że się opił — krzyczeli chórem.

Zwolna wrzaski milkły jeden po drugim. Sam został wreszcie w roli solisty, lecz wkońcu i on ucichł. Oktobra wpatrzyła się uważnie i żałośnie w stojącą przed nią kupę łachmanów. Postać kiwała głową w bezradnym proteście. Wzrok jego powędrował od dziewczyny w stronę przyćmionej lampy, która kopciła straszliwie; ta lampa zdawała się go interesować. Podniósł uroczyście palec, jakby z wyrzutem, potem oczy jego powróciły do Oktobry.

— Strasznie mi przykro, przeklęta intaglio.

On jeden z całej tej gapiącej się kompanji zdawał się rozumieć jej upokorzenie. Kiwał głową, ściągał brwi, widoczną była walka, jaką toczył z narkozą trunku, dla odzyskania świadomej woli. Próbował z wysiłkiem odjąć czarną zasłonę, która oślepiła jego zmysły, lecz nie udawało mu się to; świadczyło o tem, choćby to majaczenie o intaglio.

Oktobra nie umiała tego z niczem powiązać.

— Poślubię go.

Wargi pana Elmera zaczęły latać dziko; stary Wasser szlochał cicho.

— Nie możesz... masz przecie poślubić Sama Wassera.

— Tego zdechlaka.

Sam odwrócił się na te słowa, chciał przystąpić do niej i zrobił kilka kroków, lecz stracił równowagę i runął jak długi, usiłując napróżno powstać.

— Chcieliście wydać mnie dzisiejszego dnia; biorę włóczęgę.

Pani Elmer załamała ręce.

— Sama nie wiesz, co mówisz — pisnęła wysokim falsetem. — Nie możesz uczynić tego, Oktobro.

— Nie mogę? — Oczy Oktobry spoczęły na twarzy wielebnego Stevensa.

— Wszak jeden człowiek równy jest drugiemu przed Bogiem; czy nie tak?

Zwróciła się do Robina, który patrzył na nią rozwartemi szeroko oczyma.

— Taka rzecz nie powinna się stać — rzekł tonem nagle uroczystym.

— Jak się nazywacie?

— Robin. Robin Leslie.

— Robin Leslie, to wszystko co trzeba.

Ujęła jego brudną rękę. Była w tej chwili w stanie egzaltacji — rozpłoniona z błyszczącemi oczyma. Wielebny Stevens obracał w ręku swój modlitewnik, patrząc z poza okularów na pana Elmer. Ten obgryzał gwałtownie paznogcie, zezując jednem okiem na zegar, drugiem na bezwładny tłomok, jaki przedstawiał leżący na ziemi Sam Wasser, który niebawem zasnął.

— Rób jak chcesz — zaskrzeczał do Oktobry — rób jak chcesz, skoro oszalałaś doszczętnie.

Trzymała wciąż w ręku osmoloną łapę nędzarza.

— Nazywam się Oktobra Jones, on Robin Leslie — pożeń nas.

Wielebny Stevens otworzył modlitewnik i wymamrotał kilka słów. Na dywanie rozległo się głośne chrapanie Sama.

— Obrączki.

Oktobra pochyliła się i wsunęła rękę do kieszeni Sama.

— Oto są.

Tak wobec Boga i Kongregacji została żoną Robina Leslie. Pani Elmer z ręką na ustach patrzyła na nią z twarzą kobiety pozostającej w transie kataleptycznym. Andrzej żuł wściekle wargami, choć nie wybiegał z nich żaden dźwięk. Co się tyczy Robina włóczęgi...

— Przykro mi — rzekł raz jeszcze.

Banda stłoczona we drzwiach rozstąpiła się, robiąc miejsce wychodzącym.

— Gdzie pani idziesz? — pytał ochrypłym głosem stary Wasser.

— Z moim mężem.

Znikli w ciemnościach, a przez długi czas nikt z pozostałych nie poruszył się i nie wyrzekł słowa. Nagle pani Elmer rzuciła się ku drzwiom z dzikim wrzaskiem:

— Oktobro! Oktobro!

Nie było odpowiedzi, prócz szumu zrudziałych liści i dalekiego huku grzmotów.

IV.

Przechodząc przez sień, Oktobra usłyszała grzmoty; machinalnie sięgnęła po stary płaszcz, wiszący przy drzwiach, który używała w miejsce dywanu, kładąc się w cieniu jabłoni, gdy piękna pogoda zwabiła ją do ogrodu. Robin szedł przed nią, widziała w mroku rękaw jego koszuli i przyśpieszyła kroku, by się z nim zrównać.

— Co to jest? — pytał, wskazując przed siebie palcem.

— To droga, która prowadzi do szosy.

Przesunął ręką po czole.

— A czy niema innej drogi przez pola?

Spojrzała na niego pytająco.

— Nie chcecie iść ze mną przez miasto? bo mnie to wszystko jedno.

— Ale mnie nie; jestem jak spętany, zatruty; głupie młokosy. Nie byłem na to przygotowany.

Stali niepewni; przed nimi była brama i droga. Za sobą usłyszała Oktobra przenikliwy głos, wołający ją po imieniu.

— Tędy.

Uchwyciła go za jedyny rękaw i wepchnęła na ukrytą ścieżkę, mało widoczną nawet w dzień. Zataczał się jeszcze i przepraszał ją za to. Widziała, że rzeczywiście gruntownie jest zatruty. Ścieżka wywiodła ich na trawę między drzewa, po przez które migało chwilami odległe żółte światło. Minęli sad i weszli na ścieżkę, przecinającą pole, na którem pasły się za dnia krowy pana Elmera. Tu stała obszerna szopa, której kształt rysował się bryłowato na tle szarego nieba. Poza tym budynkiem wyboista ścieżka prowadziła do stawku, gdzie pojono bydło, dalej całkiem pusty obszar, gdzie nic nie rosło.

— Burza już się gdzieś zaczęła — rzekł Robin, (Oktobra już widziała błyskawice.) Idąc wzdłuż doliny św. Wawrzyńca mówił dalej Robin.

Stanęła nagle.

— Kim jesteście? — spytała — wszak nie Amerykaninem?

— Anglik.

Nie widziała jego twarzy, lecz zauważyła, że mowę miał jeszcze trochę utrudnioną. Odetchnęła głęboko.

— W takim razie jestem Angielką.

— Jest pani Angielką; a to pięknie.

Zacisnęła wargi.

— Jestem Amerykanką i nigdy nie będę czem innem.

— O! Niech pani zaczeka, muszę pomyśleć. Wszak tylko co mówiła pani „Jestem Angielką". Nie cierpię osób, które co chwila zmieniają zdanie. Gdzie idziemy?

— Gdzie idziemy? Ależ tam, gdzie chcecie...

— Prescott.

— To znaczy Kanada.

Skłonił głowę. Zobaczyła to mimo ciemności.

— Gdzie dojdziemy tędy? Trzeba, zdaje się, iść prosto. — Objaśniła go, że mają przed sobą drogę, która doprowadzi ich do szosy Littlebourskiej od strony zachodniej.

— Przedtem jest mały lasek, nieprawdaż — zapytał niespokojnie.

— Tak jest — odparła zdziwiona.

Doszli do chruścianego płotu, który stanowił granicę fermy Czterech Buków.

— Cyt! padnij.

Przyklękła odruchowo i usłyszała równocześnie czyjeś głosy. Za płotem ktoś zaświecił zapałkę.

— Twarzą ku ziemi, plackiem! — szepnął i sam daje jej przykład, płaszcząc się na wilgotnej trawie. Padła obok niego z bijącem sercem. Mówiła sobie, że niema powodu do strachu, a przecież czuła, że jest olbrzymi, namacalny bardzo żywotny powód: bliskie niebezpieczeństwo. Nieokreślony lęk podnosił jej włosy na szyi. Leżąc tak w trawie uczuła nagle szaloną nienawiść do ludzi, którzy tam za płotem szli sobie swobodnie i byli już bliżej, coraz bliżej. Zatrzymali się o jakie sześć stóp od miejsca, gdzie leżeli, i jeden z nich zaświecił znów zapałkę. Zerknęła w tamtą stronę i dojrzała przelotnie szeroką twarz objętą rudą brodą.

— Zdradzisz nas twoimi zapałkami, Lenny — mówił z naganą Rudobrody — może jeszcze należało wziąć orkiestrę.

— Hm! — mruknął drugi. — To nic nie szkodzi, niema go tu napewno; odszedł już o milę stąd.

— Ależ kiedy powiadam ci, że go widziałem z bandą młodych opilców; i gdybyś był wtedy ze mną...

— Musiałem pokazać się na peronie temu zatraconemu szpiclowi.

Głosy były coraz bliższe, potem oddaliły się. Piorun ryknął, a gdy huk jego zamarł, nastało milczenie.

— Ciebie szukają? — pytała Oktobra zduszonym szeptem.

— Tak.

Głos jego był czysty; wytrzeźwiał nagle, jak się zdawało. Skoro powstali, przy krótkiem świetle błyskawicy dostrzegła w jego ręku mały błyszczący przedmiot. Oprzytomniał widocznie w obliczu niebezpieczeństwa i głowę miał już jasną, lecz nogi jeszcze niepewne.

— Nie możemy wędrować przy płocie; las jest dla nas zdrowszy; czy tu jest gdzie furtka?

— Trochę dalej.

— Padnij!

Dostrzegł zdaleka świecący koniuszek cygara. Ludzie wracali. Tym razem ukrywająca się para miała lepszą pozycję. W tem miejscu biegł płytki rów równolegle do płotu, położywszy się w nim, byli zupełnie niewidzialni. Dwaj ludzie byli tuż przy nich; jeden usiadł na płocie, słychać było chrobot jego obuwia, ocierającego się o palisadę.

— Musiał już odejść do lasu, po drugiej stronie miasta. Trzeba było przeszukać ten lasek, Lenny. Gdybym nie był głupi, ustrzeliłbym już go w Schenectade.

Cisza.

— Dostał broń — rzekł jeden głos.

— A może u djabła dostał; chociaż gazety zwykle kłamią. Nie puszcza się kantem banku dla kupienia rewolweru; chociaż może to nie był bank, tylko księgarnia; lecz i księgarnia daje ładne dochody.

Gazety piszą...

— Do djabła z gazetami. — Dodał jeszcze dosadne przekleństwo pod ich adresem.

Znowu dłuższe milczenie; zapach dobrego cygara rozszedł się poza płotem.

— Powiedz, co Gussie od niego dostał?

Rudobrody, bo Oktobra nauczyła się już odróżniać głosy dwóch przyjaciół, zaśmiał się krótko.

— Posłuchaj, Lenny! Przypuśćmy, że uda się nam upolować ptaszka; cóż znaczy wobec tego to, co mógł dostać Gussy...

Odeszli wreszcie. Robin wyczekał dobrych dziesięć minut, zanim pozwolił powstać sobie i jej.

— Gussie! — mruknął. — A to się ładnie składa. Gdzie jest furtka?

Szła przed nim, zauważył płaszcz, który niosła na ręku, a którego koniec wlókł się po ziemi i wziął go od niej bez słowa. Znaleźli furtkę otwartą. Wyszli na drogę, która lubo nierówna, stokroć była milszą do stąpania, niż polna gruda. Rosła tu bujnie trawa, przesiąkła rosą; Oktobra czuła, jak przód jej sukni przesyca się wilgocią.

— W lesie jest domek... Nie boi się pani?

— Dom Szweda — przypomniała sobie.

— Tak, Szweda, który się powiesił. Opryszki unikają go, wolą spać pod gołem niebem. Zabobonni ludzie, jak wszyscy włóczędzy, strasznie zabobonni.

— Czy nie zaprędko idę? — Szedł teraz przodem i odwrócił się do niej.

— Nie! Ale wytrzeźwieliście już całkiem.

Odwrócił znów głowę.

— Nie! Jeszcze nie, jestem chory. Patrzę na panią i myślę, że jesteś kim innym. Nogi uginają się podemną. Wczoraj nie spałem całą noc. Wskoczyłem po drodze do pociągu towarowego, ale jeden z kontrolerów wytropił mnie i wyrzucił. Senny jestem, mógłbym spać stojący, a mimo to jeszcze jestem pijany.

Droga zaczęła się piąć w górę. Znała ją tak dobrze, że mogłaby iść z zawiązanemi oczami. Las modrzewiowy ukazywał się z jednej strony, droga zwężyła się tak, że stała się zwykłą ścieżką. Teraz znaleźli się w gęstwinie, przyświecały im zrzadka błyskawice, których dobroczynny blask przenikał niekiedy przez gałęzie drzew.

— To tu, gdzieś na lewo. Są tam dwa schody. — Zwolnił kroku, szukając domu Szweda. Znów błysk przez liście i odszukali dwa okruszone stopnie z piaskowca, wydeptane stopami samobójcy. Wstąpiwszy na nie, wahali się, nie wiedząc, gdzie są drzwi. Myślała, że on chwieje się jeszcze na nogach i wzięła go za rękę, lecz wysunął swą dłoń delikatnie. Potem ujrzeli przez liście jakby czerwony blask ognia, w miejscu, gdzie niedawno skręcali na ścieżkę.

— Poczekaj pani! — rzekł pośpiesznie i zeszedł ze schodów. Powolnym krokiem szedł prosto ku miejscu, skąd błyskał ogień; żaden głos nie dochodził do słuchu czekającej dziewczyny. On zaś zbliżał się krok za krokiem do nieznanego obozowiska. Było tam dwóch ludzi. Jeden tak niezmiernie wysoki, że drugi przez porównanie wydawał się karłem. A chociaż później okazało się, że ma wzrost przeciętny, Robin nazywał go zawsze później małym człowiekiem. Obaj włóczędzy byli brudni i w łachmanach, tak poszarpanych, że przez porównanie plecak, który miał na sobie wyższy, wyglądał niemal elegancko. Olbrzym miał niskie czoło, cofnięte w tył, olbrzymi kartofel zamiast nosa, brodę z gęstym zarostem i oczy blisko osadzone, jak u małpy. Towarzysz jego był całkiem starym człowiekiem; miał na sobie zbutwiałe szmaty, twarz jego nie zaznała mydła i wody od niepamiętnych czasów. Łysy, z białą brodą, siedział, patrząc tępo w ogień.

— Chodźcie tu bliżej — warknął duży człowiek. Wyczuł zbliżenie się obcego, nie podniósłszy oczu od chleba, który pożerał. Włóczęga Robin przystąpił bliżej. Głowę miał w tej chwili zdumiewająco jasną, choć chwilami nawiedzały go jeszcze mdłości.

— Siadajcie! Owszem — rzekł duży. — Czy i was strącono na drogę; bo mnie kopnął przeklęty, byłbym się utrzymał, ale ten stary korek zaraz zleciał.

Robin zrozumiał, że obcy zostali wyrzuceni z pociągu przez detektywa kolejowego.

— Pociąg szedł wolno — oznajmił jeszcze, klnąc następnie podług własnej modły.

— Jechaliśmy do Ogden — jęknął żałośnie mały starzec. — Mieliśmy przejść granicę.

— Niema żadnej granicy, stary durniu! (powiedział gorzej). Mówiłem ci już tyle razy. Nie wiecie, jak tam w tem mieście żyje się bezdomnym? Droga coprawda podła — dodał, zwracając się do Robina.

— Nie próbowałem jej.

Duży człowiek otworzył szeroko oczy; akcent nieznajomego uderzył go.

— Anglik? A to śmieszne. — Schlang! — dodał po dłuższej obserwacji. — Uważasz Łysek? Ten ptaszek ochlał się.

Sympatyczne zainteresowanie ukazało się w jego małych oczkach.

— A no usiądź przy ogniu, wesoły z ciebie kompan.

— Przepraszam — rzekł mały człowiek, zwany przez tamtego Łyskiem, głosem, w którym przebijały nawyknienia kulturalne, — pan idzie do Ogdenburga, w takim razie będzie pan może ciekaw usłyszeć.

— Milczeć! — wrzasnął olbrzym, podnosząc groźnie swą ciężką łapę, co wywołało w małym człowieku paroksyzm dziecięcego lęku. — Przypadł twarzą ku ziemi w postawie przerażonej.

— Głupiec! Wiecznie bredzi w swoich przywidzeniach. — Ledwie, że nie wpadł do ula, skoro zaczął swoje na stacji Troy. — Włóczy się to po drogach i beczy o swojej Julji.

Stary Baldy drżał jak obity pies, lecz usłyszawszy ostatnie słowa olbrzyma, zdawał się nabierać jakiejś rozpaczliwej odwagi.

— Ani słowa więcej... Słuchaj! Tylko bez tego imienia. Była okrutną dla mnie, lecz ani słowa o niej.

— Julja! Julja! — przedrzeźnił go złośliwie olbrzym. — Pochwycił obu ciężkiemi łapami głowę małego towarzysza i potrząsał nią dziko.

Robin patrzył bez słowa na to znęcanie się nad małym Baldym. Skoro olbrzym puścił swą ofiarę, spojrzał na przygodnego towarzysza, którego postanowił zwać Joe.

— Siadaj Joe! Chyba ci nie pilno... Znałem już jednego Anglika... Siadaj! skoro ci mówię. — Ostatnie słowa wypowiedziane były z dzikim wrzaskiem.

— Nie siadam i odchodzę — odrzekł Robin spokojnie.

— Boisz się, żebym cię nie obszukał. Nie bój się! Odrazu widać, żeś goły i że grosza przy tobie nie znajdzie.

— Może być! Mimo to odchodzę. — Odszedł istotnie, lecz zerknął bokiem na włóczęgów. Widział, jak olbrzym podnosił duży kamień z zamiarem rzucenia go.

— Mam przy sobie blaszkę — rzekł znacząco. Zrobił gest, jakby sięgał po rewolwer.

Widział, że opryszek uwierzył mu, choć roześmiał się z przymusem.

— Ho! ho! Jaki mi ptaszek. Zachciewa mu się chodzić z bronią — morowy facet.

Powstał i zbierając resztki uczty, zawijał je w starą gazetę.

— Chodź Baldy! — mówił do małego. — Ten gość ma przed nami stracha. Widzisz go jak się trzęsie.

Robin stał w milczeniu.

— No! Widać odrazu, że nie jesteś całkiem z naszych. Chodź Baldy.

Baldy zbierał powoli osobistą swą własność i powlókł się za swoim panem. Wówczas Robin zadeptał starannie ogień do ostatniej iskierki i powrócił do Oktobry.

— Kto to był? — spytała.

— Jacyś włóczędzy, wejdźmy, gdzie są drzwi?

Wskazała je, a przynajmniej tak się jej zdawało, gdyż był to gest niewidzialny w ciemności. Burza zbliżała się. Niebo posiekane szeregiem błyskawic, pozwoliło dojrzeć domek niski i zrujnowany. Okiennica zwisała na zardzewiałych zawiasach, walący się ganeczek opierał się żałośnie na jednym słupie.

— Nocleg! — rzekł szumnie Robin.

Drzwi trzymały się mocno, lecz okno otwierało wstęp. Po chwili Oktobra usłyszała łoskot stóp swego towarzysza, który wszedł przez nie i próbował klamki. Upłynęła dość długa chwila, zanim zdołał otworzyć drzwi i to bardzo wąsko, tak, że ledwie zdołała się przecisnąć.

— Zawiasy poszły! — rzekł krótko.

Przywarł drzwi jak najściślej i potarłszy zapałkę zapalił ogarek świeczki, którą dobył z kieszeni. Znajdowali się w małym korytarzu zasypanym rumowiskiem. Suche liście przedostały się do wnętrza i skrawki kolorowych gałganów ukazywały się pod warstwami kurzu. W górze na stropie tkwił wbity w środkową belkę potężny hak. Spojrzał nań; zapomniany Schwed... o którym zostało jedyne wspomnienie, że się powiesił w tym opuszczonym domu.

— Uf! — Spojrzał na nią poważnie.

— Boi się pani? Nie trzeba. — Wzrok jego pobiegł ku belce. To nie tu. Tu wieszano szynki. On powiesił się w lesie na drzewie. Stracił żonę i zwarjował na długo przed pani urodzeniem. Tak mówią.

— Kto tak mówi? — przerwała niecierpliwie.

Skinął głową w nieokreślony sposób, w stronę Littlebourga, chcąc przez to wyrazić, że ma na myśli całe miasteczko.

Włóczęgi snują różne baśnie; nie zawsze ich rozumiem, mają swoje narzecze! Niech pani potrzyma świecę. — Wzięła ogarek z jego ręki, on wszedł do pokoju, który łączył się z korytarzem i powrócił niebawem, wlokąc łóżko żelazne, zakurzoną, poszarpaną kołdrę.

— Oto i łóżko, — rzekł — materac jeszcze dobry, sprężyny trochę zardzewiałe, lecz bądź co bądź jeszcze niezłe. Szczęście, że mamy świecę.

Łóżko było roztrzęsione, ale materac cały, to jest siatka sprężynowa była nienaruszona. Zwinął kołdrę w kształcie poduszki.

— Ciepło jest — rzekł sennie, — lecz może się pani zakryć swoim płaszczem. — Usiadła na łóżku i spojrzała na niego przy świecy. — Mógł być kiedyś przystojny, lecz ta twarz opuchła, podbite oko, ognista plama na policzku. — Oktobra pokiwała głową z ubolewaniem.

— Co macie na twarzy? — spytała.

Zdziwiony był tem pytaniem.

— W ogóle? czy w szczególności? — spytał, dotykając czerwonej plamy na policzku.

— Ach to! to ta przeklęta farba; inkwizycja idzie spać. — Zdjęła trzewiki i położywszy się, zakryła się płaszczem; lecz suknię miała cienką, więc żelazna siatka łóżka wpijała się w jej ciało, będzie mieć jak myślała nazajutrz ciało tatuowane w kratkę. On usiadł w kącie i zgasił świecę. Wkrótce słyszała jego głęboki oddech; niekiedy chrapał. Przez niezasłonięte okno widziała

niebo kolejno czerwone, to niebieskie. Mały domek trząsł się w posadach za każdym uderzeniem pioruna. Potem deszcz zaczął padać, krople jego dzwoniły o blaszany dach i biły w niedotłuczone szyby: sop! sop! sop! — Dach przeciekał gdzieniegdzie. Krople deszczu siąpiły w pobliżu tuż pod ręką. W przerwach między grzmotami słyszała chrapanie Robina; parę razy mruknął przez sen. „Głupia warjacja". Nie wiedziała, do czego się to odnosi — do niego, a może do niej, lub do jakichś okoliczności jego życia, zatajonego przed nią jakby gęstą zasłoną, tak, że mogła tylko snuć o niem przypuszczenia. Wreszcie usnęła. Po niejakim czasie uczuła przez sen, że ktoś ją trzyma za rękę, obrosły policzek był blisko jej twarzy — otworzyła usta, by wydać jęk, czyjaś ręka mocna i ciepła zatkała jej usta.

V.

Grono weselne w fermie Czterech Buków stopniało do czterech osób. Wielebny Stewens odszedł rad nierad z innymi gośćmi; wziął on na siebie ciężką odpowiedzialność, wiedział to i czuł doskonale. Jutro bezwątpienia, osoba jego stanie się przedmiotem dyskusji, jedni będą za nim, drudzy, przeciw niemu. Zgóry już widział nazwisko swoje na szpaltach gazet, z soczystemi przydawkami i zamieszczone podobizny. Był on jednak człowiekiem, zanim został ewangielickim pastorem i nie mógł się całkiem odczłowieczyć. Więc choć wiedział, że jego bracia w zawodzie powstaną przeciw niemu jak jeden mąż i napiętnują go w swem oburzeniu, że matki córek na wydaniu potępią go jednomyślnie, w obawie gorszącego przykładu, że nawet ludzie szerokich poglądów gotowi zawsze bronić bohaterów najbezecniejszych zajść, będą jednak mieli coś przeciw niemu — pomyślał mimo to o reporterach, którzy nawiedzą go jutro. Posiadał około tuzina własnych fotografji, które będzie mógł im przedstawić. Wybrał w myśli jedną z nich, przedstawiającą go z profilu bardzo korzystnie; to zdjęcie z jego młodych lat, zrobione w Poczdamie w pierwszych latach jego karjery. Zkolei pomyślał o Oktobrze, lecz wyobraźnia jego na tym punkcie odmówiła mu posłuszeństwa. Postąpiła jak warjatka w swojem narwaniu, lecz prawdopodobnie uciekła już od swego żebraczego małżonka. Uczciwie mówiąc, był pewien, że nazajutrz dowie się, że Oktobra powróciła już do Czterech Buków. Kto wie, może tam jest już teraz, gdy on oto śpieszy do domu, — wśród nocnych mroków.

W bawialni fermy, Andrzej Elmer siedział sztywnie przy stole, który niedawno służył za ołtarz. Pani Elmer szlochała cicho w swym bujaku, z gniewu raczej, niż z żalu po Oktobrze. Leo Wasser siedział na sofie, podtrzymując ramieniem chwiejącego się i otumanionego Sama.

— Nikt nie może mnie winić, twierdził trochę niejasno pan Elmer... Zwarjowana koza... te szkoły... te gimnazja...

Pan Wasser spojrzał na niego złośliwie.

— Ładnie to będzie wyglądać jutro w gazetach... Mój syn opuszczony, dla opryszka włóczęgi! ho, ho!

— Nie zabrała ze sobą nawet sukni na zmianę, jęknęła pani Elmer, — nic, nawet tej niebieskiej. Co ludzie powiedzą!

Wargi Andrzeja Elmer zaczęły wściekle latać.

— Zrobiła to na złość — rzekł stanowczo.

W tej chwili jeden z fornali stanął w progu.

— Jakiś gość chce się widzieć z panem Elmer. Anglik pono. Mało można zrozumieć jego mowę. Pan Elmer spojrzał na niego osłupiały. Gdyby Wielki Chan Mongolji zjawił się w tej chwili w fermie Czterech Buków, byłby równie mało oczekiwany, jak ten niepojęty Anglik. Spojrzał na żonę; pani Elmer wyniosła się tchórzliwie. Sam nie był w stanie pójść za jej przykładem. Krótkie wahanie odbiło się w oczach Lea Wasser, lecz ostatecznie nie było powodu wstydzić się, Sam padł ofiarą czarnych machinacji. Ktoś go gwałtem spoił, prawdopodobnie ten bezczelny żebrak z opuchłą twarzą i podbitem okiem, albo może zahypnotyzowano go, lub dano do wypalenia odurzające cygaro. I w takiej chwili depresji, skutkiem niegodziwych intryg, opuściła go jego własna żona, a w każdym razie osoba, która miała nią zostać. Sam pozbawiony podtrzymania, jakie stanowiło ramię ojcowskie, opadł jak galareta, wydając ze siebie dysonansowe dźwięki — pan Elmer uczuł żywy niepokój.

— Czy nie mógłbyś wyprowadzić go do kuchni, Leo. Moja żona zajęłaby się nim.

— Mój syn śpiewa; — odrzekł stary Wasser głosem nabrzmiałym gniewem. — Ten interes kosztuje mnie już tysiąc dolarów i gotów mnie zrujnować.

Fornal, który zameldował był gościa, czekał niecierpliwie, wsunąwszy duży palec pomiędzy sztywny krochmalny kołnierzyk, przywdziany na uroczystość ślubną, na podrapaną szyję. Przy drzwiach zebrała się gromadka ciekawych, którzy mówili wszyscy naraz.

— Anglik powiada, że musi się z panem widzieć — powtórzył fornal. Z poza pleców jego wysunęła się wysoka figura w gumowym płaszczu. W jasnych rękawiczkach, z monoklem w oku. Anglik był przystojny, miał ładne rysy i jedwabisty wąsik, a tylko cerę woskowo bladą.

Ciąg dalszy nastąpi.



JADWIGA COURTHS MAHLER

CZERWONE RÓŻE

POWIEŚĆ

ROZDZIAŁ I

Josta von Waldow skierowała swój elegancki dogcart, który przed kilkoma dniami dostała od ojca na urodziny, przez szeroki wjazd do ogrodu. Powozik zatoczył się po wysypanej żwirem drodze pod portal „Dziewiczego Zameczku“, którego nazwa pochodziła stąd, że zamieszkiwały go niegdyś niezamężne księżniczki domu panującego. Ale od wielu lat nie było ani jednej niezamężnej księżniczki i zameczek od długiego już czasu stał pusty. Sprzeciwiało się to praktycznemu zmysłowi panującego księcia, i przemyśliwał często, nacoby zużyć tę piękną siedzibę.

Pewnego dnia usłyszał, że jeden z jego ministrów' którego bardzo poważał, zachwycał się cudną budową zameczku w stylu barokowym, a że dotychczasowa siedziba ministra mieściła się w domu, który miał ulec zburzeniu, przeto książę nie namyślając się długo, oddał „Dziewiczy Zameczek“ na użytek ministra. Od trzech lat już rezydował minister w zamku.

Jego Ekscelencja von Waldow ucieszył się bardzo tą zmianą siedziby, a jeszcze więcej jego małżonka i córka. Prędko zabrano się do przeprowadzki, ale niestety tylko ojciec i córka wzięli w tem udział. Pani von Waldow zachorowała, zanim jeszcze ukończono remont zameczku, i wkrótce zmarła.

Josta miała wtedy osiemnaście lat. Teraz liczyła lat dwadzieścia jeden i pełniła rolę pani domu ministra.

Wchodząc do przybranego kwiatami westybulu, Josta zapytała służącego:

— Czy ojczulek w domu?

— Tak jest, jaśnie panienko. Jego Ekscelencja ma gościa, pana hrabiego Ramberga.

Po młodocianem, pięknem obliczu Josty przemknął wesoły uśmiech. Jej ciemne, cudnego kształtu i pełne wyrazu oczy rozbłysły nagle.

— Kiedy pan hrabia przybył? — zapytała.

— Przed kwadransem.

— Gdzie są panowie?

— W gabinecie Jego Ekscelencji.

Josta podziękowała służącemu skinieniem głowy.

Przy dużem biurku pod oknem siedzieli dwaj panowie naprzeciwko siebie.

Starszym z nich był Jego Ekscelencja pan minister, okazały mężczyzna w wieku powyżej pięćdziesięciu lat, o mądrej, energicznej twarzy i szpakowatych włosach oraz wąsach. Młodszy pan, hrabia Rainer Ramberg miał już też przeszło trzydzieści lat. Był wysmukły, arystokratycznej postaci, o energicznej, pełnej wyrazu twarzy. Oblicze jego mówiło o tem, że hrabia Rainer Ramberg musiał niejedno w życiu przezwyciężyć. Nie potrzebował żadnego zarostu, aby uwydatnić swoją męskość. Szczególną uwagę zwracały na siebie głęboko osadzone szare oczy, które dziwnie jasno odbijały od mocno opalonej twarzy, i które, jak w tej chwili, umiały spoglądać czule i przyjaźnie.

Kiedy Josta stanęła na progu, hrabia Rainer Ramberg podniósł się szybko i poszedł jej naprzeciw.

Josta z uśmiechem wyciągnęła do niego obydwie ręce:

— Witam cię, wuju Rainerze!

— Jak się masz, moja droga, mała Josto!

Josta żartobliwie przysunęła swoje ramię do ramienia hrabiego:

— Ciągle jeszcze mała? Czy rzeczywiście nią jestem? — zapytała, wyprężając dumnie postać.

Hrabia uśmiechnął się:

— Póki jeszcze spoglądasz ku mnie wgórę, mam prawo nazywać cię maleńką. A może sobie tego nie życzysz? — zapytał.

— O nie! W rzeczywistości miło mi jest, być twoją małą Jostą. Kiedy mnie tak nazywasz, brzmi to tak serdecznie! Nie chciałabym wcale, żebyś się do mnie zwracał inaczej. A teraz ucałuję tylko ojczulka i już znikam. Macie obydwaj takie poważne miny, jakgdybyście obradowali nad sprawami państwa, — rzekła z uśmiechem, całując serdecznie ojca.

— Trzpiot! — rzekł uśmiechając się minister.

Josta pogłaskała go po policzkach.

— Nie gniewaj się, ojcze! Słońce tak cudnie świeci!

— Jak daleko pojechałaś swoim dogcartem?

— Aż do bażantarni. Cudna była ta jazda poprzez majowy, zielony las. Tylko że strasznie dużo w nim ludzi. Wiesz, ojczulku, przyjemnie byłoby teraz znajdować się w naszym starym, drogim Waldowie. Tam w lesie panuje cisza, jak w świątyni. Czy będziesz mógł wziąć teraz urlop na kilka tygodni?

— Narazie niema co o tem myśleć. Może w lipcu, wcześniej w żaden sposób nie.

Josta westchnęła.

— To jeszcze tak daleko! Gdy widzę wuja Rainera, zaraz przypomina mi się Waldow. Kiedy jesteśmy w Waldowie, odwiedza nas częściej.

— To było dawniej, Josto, kiedy mieszkałem w Schellingen. Wtedy gdy chciałem, w godzinę byłem w Waldowie. A chciałem często! Teraz przeniosłem się jednak do Rambergu, — rzekł hrabia.

— Tak, tak, zupełnie zapomniałam o tem. Ale jak będziemy z ojczulkiem w Waldowie, to musisz znów wrócić do Schellingen.

— Czy pragniesz tego? — zapytał hrabia Ramberg.

— Naturalnie! Ty i Waldow jesteście dla mnie nierozerwalną całością. Tak, naprawdę miałam cię dla siebie tylko w Waldowie. Tu w tej siedzibie odwiedzasz nas tylko dorywczo. Szkoda, że nie możemy stale mieszkać w Waldowie.

— O, czyżby ci się już tu sprzykrzyło?

Josta wzruszyła ramionami.

— Czy uwierzysz, że pośród tych wszystkich ludzi, z którymi musimy przestawać, nie znajdzie się ani jeden człowiek, z którymbym tak chętnie obcowała, jak z tobą. Wszystko, co się tu słyszy i mówi, to puste i bezduszne frazesy. Wolę życie na wsi. Ale niestety, ojczulek jest tylko biednym baronem, a Waldow skurczyło się do rozmiarów małego folwarku. Przynosi zaledwie tyle, że można się najeść dosyta. I dlatego uważam pensję ministerjalną ojczulka za niezbędną, gdyż zaspakaja ona pozostałe nasze potrzeby życiowe. Wzięłam więc na siebie z godnością los córki ministra. No, a teraz nie chcę was dłużej sobą zajmować, idę się przebrać. Powiedz mi tylko jeszcze, wujaszku, jak długo zostajesz w rezydencji?

— Prawdopodobnie tylko kilka dni.

— Czy zatrzymałeś się w pałacu Ramberg? Właśnie przed chwilą przejeżdżałam tamtędy i widziałam wszystkie okna zamknięte i żaluzje pospuszczane.

— Przyjechałem bez uprzedzenia. Nie spodziewano się mnie wcale. Ale mieszkam tam.

— O, to jutro, kiedy będę przejeżdżała tamtędy, uradują mnie pootwierane okna!

Z wesołym, jasnym śmiechem wybiegła Josta z pokoju.

Obydwaj panowie przez chwilę spoglądali za nią. Potem spojrzeli na siebie, a minister rzekł, uśmiechając się:

— Widzisz, Rainerze, sercem została jeszcze prawdziwem dzieckiem, mimo pełnych dwudziestu jeden lat i mimo, że od trzech lat spełnia rolę pani domu, z której się świetnie wywiązuje tak w gospodarstwie, jak i w towarzystwie. A kiedy się dowie, co cię dziś do nas sprowadza, będzie zdumiona. Ja sam czuję się zaskoczony twemi oświadczynami.

Hrabia Ramberg odetchnął głęboko:

— To znaczy, że musisz się zastanowić, Magnusie? Nie dałeś mi odpowiedzi na moją prośbę. Wejście Josty przeszkodziło temu.

— Mój drogi Rainerze, jak wypadnie moja odpowiedź, to dla ciebie nie ulega wątpliwości. Możesz zaofiarować kobiecie wszystko, czego może zapragnąć. Twoje nazwisko jest jednem z najlepszych w kraju, jesteś bogaty, posiadasz wspaniały majorat, nie licząc już Schellingen, które samo przez się jest pięknym majątkiem. A po śmierci twego kuzyna Rocha, po którym odziedziczyłeś majorat, stałeś się najświetniejszą partją w kraju. Najważniejsze zaś jest to, że znam twój nieskazitelny charakter, twoje zalety, jakie rzadko który człowiek posiada, słowem, nie mam ci nic do zarzucenia i nie mam nic przeciwko twoim oświadczynom. Ale pozostaje jeszcze pytanie, czy Josta zechce zostać twoją żoną. Twoje oświadczyny zaskoczą ją, jak i mnie zaskoczyły i wprawią w zdumienie. A jakie będzie jej postanowienie, tego nie wiem. Na pewno nigdy nie pomyślała o tem, że znajdzie się kiedyś w takiej sytuacji.

— Szczerze mówiąc, Magnusie, i ja dawniej nie myślałem o tem, że zwrócę się do Josty z tem pytaniem. Ty wiesz lepiej, niż ktokolwiek inny, co przeszedłem. Przez te wszystkie lata odpychałem od siebie myśl o małżeństwie. Ale dalej tak być nie może. Mam trzydzieści osiem lat, a serce moje tak się uspokoiło, że z całą pewnością mogę pomyśleć o małżeństwie. A teraz, kiedy się stałem panem majoratu na Rambergu, jestem zobowiązany założyć rodzinę.

— To jest zupełnie naturalne i zrozumiałe, Rainerze, i cieszy mnie twoje postanowienie. Dowodzi ono, że skończyłeś już z tą starą historją.

— Całkowicie, Magnusie! W przeciwnym razie nie starałbym się o Jostę. Nie mogę powiedzieć, że zaofiaruję jej wielką, namiętną miłość. Do takiej miłości jest się zdolnym tylko raz w życiu, a ja mam już to poza sobą. Ale Josta jest mi droga i bliska memu sercu, i żadna inna kobieta nie ma dla mnie tej wartości, co ona. Mówię ci to wszystko otwarcie. Ale równie dobrze, jak ty, wiem, że Josta widziała we mnie zawsze tylko wujka Rainera. Jestem też starszy od niej o siedemnaście lat. Jest to mimo wszystko wielka różnica wieku. A dalej rzecz najważniejsza: nie wiem, czy serduszko Josty jest jeszcze wolne. Powiedz mi szczerze, czy uczucia Josty nie skłaniają się do innego mężczyzny, powiedz mi to przez wzgląd nietylko na naszą dawną znajomość, ale i przyjaźń, o której mnie zawsze zapewniałeś.

Minister skinął głową:

— Tak, Rainerze! Zawsze cię lubiłem! Ale twoim wiernym przyjacielem stałem się w tej godzinie, kiedy z polecenia mojego księcia pana zadałem głęboką ranę twemu sercu.

Hrabia Ramberg odparł jednak:

— Nie ty zadałeś mi tę ranę, ani też książę. Nikt tego nie uczynił, tylko los sam: przeznaczenie kazało mi zrezygnować. Ale zostawmy to. Wszystkie te walki i cierpienia są poza mną. Powiedz mi teraz szczerze, czy serce Josty jest wolne?

Minister uśmiechnął się.

— O ile ja wiem — tak. Coprawda niełatwą jest sztuką przejrzeć serce dziewczęce. Kobiety umieją swoje uczucia kryć głęboko. Ale serce Josty stało dotychczas przede mną otworem, obdarza mnie ona największem zaufaniem i napewno zauważyłbym, gdyby coś kryła przede mną. O ile więc mogę zaufać swoim oczom, serce Josty jest jeszcze wolne. Ale czy przyjmie

twoje oświadczyny, tego ci oczywiście powiedzieć nie mogę. Ty sam musisz się upewnić, czy zechce ona w wujku Rainerze widzieć swego męża. Mojej zgody możesz być pewien, nie potrzebuję ci też mówić, że uważałbym za wielkie szczęście dla Josty, gdyby wyszła za ciebie. Zanim jednak zadasz jej sam to pytanie, muszę ci jeszcze zrobić pewne odkrycie.

— Mów, Magnusie, — poprosił hrabia.

— To, co ci teraz powiem, niech zostanie między nami. Josta niech o tem nic nie wie. Niech się tego dowie po mojej śmierci. Przyrzekasz mi zachować milczenie?

— Daję ci na to słowo honoru!

— Dziękuję ci. A więc wysłuchaj mnie — Josta nie jest moją córką.

Hrabia cofnął się zdumiony.

— Nie jest twoją córką?

— Nie kryje się w tem nic romantycznego. Josta jest córką mego młodszego brata Jerzego. Był on żonaty z baronówną Halden i żył z nią tylko jeden rok. Umarła, wydając na świat Jostę. Jerzy przyniósł Jostę do mojej żony. W tym czasie my uzyskaliśmy smutną pewność, że zostaniemy bezdzietni wskutek operacji, której musiała się moja małżonka poddać. Żona moja, która kochała nadzwyczaj dzieci, oddała się wychowaniu Josty z prawdziwie macierzyńską czułością. Brat mój był oficerem, niezbyt bogatym. Zanim minął rok od śmierci jego żony, zakochał się do szaleństwa w młodej śpiewaczce. Jerzy porzucił dla niej swój zawód i poślubił ją, mimo że robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby go od tego zamiaru odwieść. Jednocześnie z zawiadomieniem o ślubie otrzymałem od niego pożegnalny list. Wyjechał z żoną do Ameryki, gdzie dostała świetne angagement. Już wcześniej uznał wszelkie nasze prawa do Josty. Nie widziałem go więcej. Po dwóch latach przysłała mi jego żona, która tam występowała pod panieńskiem nazwiskiem, drukowaną wzmiankę o moim bracie, z której dowiedziałem się, że padł w pojedynku z pewnym szlachcicem, który w towarzystwie podawał w wątpliwość cnotę jego żony. Kazałem sobie urzędowo potwierdzić wiadomość o śmierci brata. O wdowie po nim nie słyszałem nic więcej. Jostę adoptowaliśmy. Ażeby zachować w naszym stosunku zupełną swobodę i nie dopuścić nigdy uczucia obcości, nie powiedzieliśmy Joście, że nie jest naszą córką. Poco ją tem niepokoić? Ale ty musisz o tem wiedzieć, jeśli zabiegasz o jej rękę. Do mego testamentu, który czyni Jostę moją jedyną spadkobierczynią, dołączony jest list, w którym ja sam donoszę jej o tem.

Hrabia Ramberg przysłuchiwał się uważnie. Był zdumiony wiadomością, że Josta nie jest córką ministra, gdyż często był świadkiem objawów ogromnej czułości obojga małżonków dla dziewczęcia. Odkrycie to w niczem jednak nie wpłynęło na jego postanowienie.

Westchnąwszy głęboko rzekł:

— Widzisz mię zaskoczonym tą wiadomością, drogi Magnusie. Doprawdy, wydaje mi się niemożliwością, że Josta nie jest twoją córką. Tak tkliwego stosunku między rodzicami i dzieckiem nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Ale ponieważ Josta jest z urodzenia baronówną von Waldow, przeto nie cofam mojej prośby.

Minister wyciągnął doń rękę:

— A więc wszystko już zostało wyjaśnione. Reszta zależy od Josty. Każę ją zawołać.

Minister nacisnął dzwonek na biurku. Służący zjawił się na progu.

— Poproś panienkę do zielonego salonu.

Służący wyszedł, i minister zwrócił się do hrabiego Ramberga:

— Tak, drogi mój Rainerze. Udaj się też do zielonego salonu. Pomów z Jostą bez świadków. Ja załatwię sobie tymczasem niektóre pilniejsze sprawy. Potem opowiesz mi o rezultacie twojej rozmowy z Jostą.

Dwaj panowie rozeszli się, uścisnąwszy sobie dłonie.

Hrabia Ramberg udał się do znanego mu zielonego salonu i w oczekiwaniu stanął przy oknie.

ROZDZIAŁ 2

Josta po opuszczeniu ojca i hrabiego udała się w wesołym humorze do swojego pokoju. Oczy jej błyszczały z zadowolenia, że wuj Rainer przyjechał. Podczas całego jej dzieciństwa wuj Rainer był uosobieniem wszystkiego, co miłe, dobre i piękne. Do niego odnosiła się jej dziecięca przyjaźń, wokoło niego snuły się jej pierwsze niewyraźne marzenia dziewczęce. Kiedy czytała o walecznych rycerzach, w wyobraźni jej przybierali oni postać i rysy wujka Rainera. Kiedy podrosła, miejsce marzeń dziewczęcych zajęło świadome uczucie wielkiej czci i serdecznej przyjaźni. W duchu porównywała wszystkich mężczyzn, którzy się do niej zbliżali, z wujem Rainerem i żaden nie podobał jej się tak, jak on.

Dlatego też niezbyt była niezadowolona, kiedy nagle po niespodziewanej śmierci kuzyna Rocha został panem majoratu na Rambergu, gdyż opuścił Schellingen, które jego matka wniosła w posagu, a które sąsiadowało z Waldowem. Hrabia Roch był ostatnim dziedzicem majoratu, a pozostawił tylko wdowę, młodą, niezwykle piękną hrabinę Gerlindę.

Dochodami z majątku Schellingen dzielił się hrabia Rainer ze swoim bratem Henningiem, który był oficerem i mieszkał w Berlinie. Josta znała też hrabiego Henninga, ale nie widziała go już od sześciu lat. W jej wyobraźni istniał on tylko jako brat wuja Rainera i taką tylko przedstawiał dla niej wartość.

Josta, popatrzywszy chwilę przez okno, zadzwoniła na pokojówkę i kazała się przebrać.

— Chcę włożyć białą suknię, Anno, — rzekła, uśmiechając się przed siebie.

Wuj Rainer podczas ostatniej bytności powiedział jej:

— Powinnaś zawsze nosić białe suknie, Josto.

I na jego cześć postanowiła się ubierać biało.

Po chwili była gotowa i stanęła przed lustrem, przypinając do paska ciemną gałązkę bzu.

Niedługo przeglądała się w lustrze, gdyż nie była próżna i wcale nie wiedziała, jak jest piękna.

W chwili, kiedy opuszczała buduar, stanął przed nią służący i zameldował, że Jego Ekscelencja prosi ją do zielonego salonu.

Kiedy tam weszła, hrabia Ramberg stał wciąż jeszcze przy oknie i spoglądał poprzez koronkowe firanki wdal. Usłyszawszy jej kroki, odwrócił się szybko i poszedł jej naprzeciw.

— Niema tu ojczulka? — zapytała Josta spokojnie.

— Czy jesteś niezadowolona, że mnie tu samego zastałaś?

Josta roześmiała się:

— Ależ co ci na myśl przychodzi, wuju Rainerze! Ogromnie się cieszę, kiedy cię mam dla siebie. Zjesz z nami obiad?

— Chętnie, jeżeli mnie nie wypędzisz, — hrabia westchnął i rzekł z niepokojem w głosie: — Nie wiem, Josto, czy za kilka minut nie każesz mi iść precz.

Josta zdziwiona potrząsnęła głową. Spojrzała na niego pytająco:

— Co to ma znaczyć? Wogóle, nie wiem, co się stało, ale wyglądasz jakoś dziwnie, powiedziałabym uroczyście. Co ci się stało?

— Masz rację, Josto, jestem dziś naprawdę w uroczystym nastroju i jestem też nieco niespokojny. Przyszedłem dziś, żeby ci zadać dużej wagi pytanie. A teraz, kiedy chcę to uczynić, przychodzi mi nagle na myśl, że ty właściwie wyśmiejesz mnie, poprostu wyśmiejesz, zamiast mi dać jakąkolwiek odpowiedź.

— Wyśmiać? Kiedy ty zadasz mi pytanie w ważnej sprawie? Jakżebym mogła! Więc mówże prędko, o co idzie?

Hrabia wyprostował się zdecydowany i spojrzał na nią mocnym wzrokiem: — Josto, czy chcesz zostać moją żoną?

Josta zadrżała, a jej młode oblicze pokryło się nagle bladością. Jej wielkie, piękne oczy spojrzały z bacznym niepokojem na niego. Mimowoli cofnęła się o krok.

— Wuju Rainerze, nie powinieneś żartować w ten sposób! — rzekła stłumionym głosem.

— Nie żartuję, Josto, — odrzekł hrabia cicho z lekką urazą w głosie.

Josta stała nieruchomo, a przez ciało jej przebiegł dreszcz. Ale w duszy jej i sercu rozbrzmiały nagle jakieś dziwne melodje i dźwięki, jakgdyby otwarły się w niej nowe źródła życia.

— Wuju Rainerze, — odezwała się znowu nawpół głośno, wahająco, jakgdyby nie rozumiała, czego od niej chciał i jakby ją przestraszyło jego żądanie.

W obliczu hrabiego nie drgnął ani jeden mięsień, chociaż w tej chwili daleki był od spokoju. Ale umiał panować nad sobą:

— To jest jeszcze gorsze, niż gdybyś się śmiała, Josto. Przeraziło cię to, że twój stary wuj Rainer zuchwale zamierza przykuć twoją młodość do siebie.

Josta spojrzała na niego bezradnie.

— Jestem przerażona, jestem... nie, gdzieżbym mogła o tem myśleć! Ty i ja... ach, wuju Rainerze, jestem przecież takiem głupiem stworzeniem w porównaniu z tobą!

— A więc, muszę dla ciebie zostać wujem Rainerem, nie możesz się zdecydować nazwać mnie inaczej?

Josta zarumieniła się, a jej długie, jedwabiste rzęsy ułożyły się jak ciemne półksiężyce na płonących policzkach. Zawsze marzyła o tem i uważała to sobie za największe szczęście móc być ciągle razem z wujem Rainerem. A teraz wystarczyłoby jej tylko powiedzieć „tak" i byłaby z dnia na dzień, z godziny na godzinę przy nim i nigdyby się już z nim nie rozstawała.

Ta świadomość przenikała ją gorącem uczuciem szczęścia. Ale instynktownie ukryła przed nim w dumnej wstydliwości rozbłysłe oczy i opuściła je ku ziemi.

Hrabia czekał długo na odpowiedź, wreszcie rzekł cicho:

— Więc żadnej odpowiedzi? To znaczy, że każesz mi iść sobie, odpychasz mnie od siebie, prawda?

Josta szybko sięgnęła po jego dłoń:

— Nie, zostań, — powiedziała błagalnym szeptem, tak, że ledwie mógł zrozumieć.

Nie patrzała przytem na niego i nie widziała jego nagle rozbłysłego wzroku.

— Jako twój narzeczony, Josto?

Josta podniosła wzrok na jego spokojne oblicze i rzekła niepewnie i niezdecydowanie: — Ach, ja nie wiem... To przyszło tak niespodzianie. Nigdy o tem nie pomyślałam.

— Więc powiedz mi przynajmniej, czy twoje serce jest jeszcze wolne, czy nie kochasz innego.

Josta energicznie potrząsnęła głową:

— Nie, nie kocham nikogo prócz...

Zatrzymała się: „Prócz ciebie", chciała powiedzieć. Ale nie chciało jej to przejść przez gardło.

— Nikogo prócz ojczulka, — dokończyła nagle.

Hrabia przyciągnął ją do siebie:

— A czy mnie wcale, ani troszeczkę nie lubisz, mała Josto? — zapytał miękko, wzruszony jej bezradnością.

Josta oddychała szybko i gwałtownie:

— Przecież wiesz, że ciebie lubiłam zawsze.

— Więc pytam się jeszcze raz... czy chcesz zostać moją żoną?

Jej ciemne oczy spojrzały w jego oczy poważnie i pytająco:

— Dlaczego zadajesz mi to pytanie, wu...?

Nie, wujaszkiem nie mogła go już teraz nazywać! Nie potrafiła już wymówić tego słowa i po raz pierwszy zrobiła spostrzeżenie, że hrabia jest o wiele za młody na wuja tak dorosłej panny.

— Dlaczego cię proszę, żebyś została moją żoną? — powtórzył hrabia szybko. — Gdyż nie znam innej kobiety, którąbym bardziej niż ciebie pragnął mieć przy sobie!

Zdawało jej się, że słowa te brzmią zbyt chłodno, jak na oświadczyny, a nie zauważyła, że hrabia specjalnie wysilał się na ten spokój, żeby jej nie przestraszyć.

— Czy możesz się zdobyć na to, by zostać moją żoną, czy też odpalony muszę odejść ze smutkiem? — zapytał hrabia jeszcze raz.

— Czy bardzobyś się smucił? — zapytała gwałtownie.

— Tak, bardzo, — rzekł hrabia z powagą i czuł przytem, że powiedział prawdę, mimo że nie kochał Josty.

— Za nic w świecie nie chciałabym cię zasmucić, — rzekła Josta cicho.

— Więc zgadzasz się?

Słyszała radosne brzmienie jego głosu i widziała, jak jego oczy czule i błagalnie, choć nie z tym wyrazem, jakiego nieświadomie pragnęła, szukały jej wzroku.

Przez chwilę wahała się jeszcze, ale jakby w obawie zmiany decyzji, rzekła raptownie:

— Tak, jeżeli ty tego pragniesz... to i ja się zgadzam.

Hrabia najpierw podniósł jej dłoń do ust, potem objął jej kibić ramieniem, chcąc ją pocałować w usta. Ale Josta, jakgdyby w instynktownej obronie, pochyliła głowę i wargi jego musnęły tylko jej czoło.

Miało się niejasne uczucie, jakgdyby chciała uniknąć tego pocałunku. Oblicze hrabiego drgnęło nieco. Zauważył, że wymyka mu się, i to wywołało w nim jakiś dziwny niepokój.

— Dziękuję ci serdecznie za zaufanie, moja droga, mała Josto. Bałem się, że mi dasz kosza, — rzekł wzruszony.

Zanim Josta zdołała odpowiedzieć, wszedł minister i spojrzał na obydwoje pytająco. Josta podbiegła do

niego i rzuciła mu się w ramiona, jakby szukała obrony przed sobą samą.

— Ojcze — kochany ojczulku!

Minister ponad jej głową zamienił spojrzenie z hrabią Rambergiem. Ten skinął twierdząco głową. Wtedy minister uścisnął mocno córkę w ramionach.

— Moje kochane dziecko! — rzekł wzruszony.

— Josta dała mi swoje słowo. Bądź mi więc wiernym ojcem, jak wiernym byłeś mi dotychczas przyjacielem, i daj nam swoje błogosławieństwo, poprosił hrabia Rainer z powagą.

W milczeniu złożył minister ręce, a potem rzekł wzruszonym głosem:

— Niech was Bóg błogosławi i obdarzy was spokojem i szczęściem.

Josta zapragnęła choć przez kilka chwil być samą. Pocałowała ojca, i bąknąwszy przeproszenie, wyszła szybko z pokoju.

Kolana jej drżały, nie mogła pójść dalej i padła w przyległym pokoju na fotel. Przycisnąwszy ręce do serca, siedziała Josta, wsłuchując się w siebie, gdy nagle do jej uszu dobiegły słowa dwóch panów.

Nie przypuszczali oni, że Josta znajduje się w przyległym pokoju. Myśleli, że udała się do swego pokoju. Josta stała się więc świadkiem ich rozmowy, gdyż nie była zdolna wstać i odejść.

Najpierw odezwał się jej ojciec:

— Nie potrzebuję ci chyba mówić, drogi Rainerze, jak szczęśliwym się czuję, że moja córka będzie miała ciebie za męża. Chociaż powiedziałeś mi szczerze, że nie kochasz Josty namiętnie, chociaż wiem, że tylko z bólem oderwałeś swoje serce od kobiety, która posiadła twoją wielką, gorącą miłość, to jednak pewien jestem, że będziesz moją Jostę zawsze szanował i cenił, że otoczysz ją czułą opieką. Także Josta nie obdarza cię zapewne gwałtownem uczuciem, ale czyż małżeństwa, oparte na obopólnym szacunku i sympatji, nie są najharmonijniejsze i najszczęśliwsze? Mam nadzieję, że i wy będziecie ze sobą szczęśliwi.

— Tego życzę sobie i pragnę także! — odparł hrabia Ramberg z powagą: — i będę czynił co tylko będzie w mej mocy, żeby Josta nigdy nie musiała żałować, że oddała mi swoją rękę.

Josta słyszała każde słowo. Siedziała, jak przygwożdżona. Słowa hrabiego wydały jej się tak strasznie spokojne. Nie wiedziała, że zmusza się do zachowania spokoju w rozmowie z jej ojcem, jak i z nią.

Josta słyszała tylko w jego słowach zimny spokój, a najbardziej uderzyło ją to, czego się z tej rozmowy dowiedziała, że serce Rainera należy do innej kobiety, kobiety, od której się oderwał z wielkim bólem.

Josta zadrżała, jak od chłodu, serce sprawiało jej ból, a w jej oczach błysnął tęskny smutek, jakiego nigdy przedtem nie zaznała.

Pomyślała też, że za chwilę dwaj panowie spostrzegą ją tutaj. Podniosła się z wysiłkiem, wyszła na korytarz i udała się do swego pokoju. Kiedy się tam znalazła, rzuciła się na fotel i przycisnęła obydwie dłonie do twarzy. Siedziała tak przez długą chwilę, wsłuchując się w siebie i doszła do przekonania, że kochała Rainera oddawna, tylko, że nie zdawała sobie z tego sprawy. I że dlatego właśnie wszyscy mężczyźni byli jej obojętni i nie podobali się jej, gdyż stale porównywała ich z nim i tęskniła tylko za jego obecnością.

„Nie, nie mogę zostać jego żoną, z tą świadomością, że ja go kocham, a on odwzajemnia mi się takim chłodnym spokojem! Jak potrafię to znieść, jak potrafię żyć obok niego z tą świadomością, że jego serce należy do innej? Nie, tego nie potrafię!“

I chciała zbiec nadół i poprosić go, żeby zwrócił jej w zbytnim pośpiechu dane przyrzeczenie, chciała mu powiedzieć, że ona nie może zostać jego żoną. Ale zanim doszła do drzwi swego pokoju, stanęła odrętwiała i nie mogła iść naprzód.

„Jeżeli mu to powiem, pójdzie sobie i może już nigdy nie wróci. I poślubi wkrótce inną kobietę, która będzie zadowolona z tego, co jej może zaofiarować, z tego, co inna, którą kochał, pozostawiła“.

A myśl, że mógłby poślubić inną, była dla niej tak straszna, tak nie do zniesienia, że mogłaby wszystko inne ścierpieć, byle nie to.

Padła znowu na fotel i złożyła ręce jak do modlitwy.

— Może mnie jednak kiedyś pokocha, tak jak pragnęłabym być przez niego kochana, — szepnęła.

Josta przetarła ręką oczy i podniosła się.

Zwolna opuściła swój pokój. Musiała powrócić do ojca i do narzeczonego. Nie chciała, żeby się niepokoili jej długą nieobecnością.

Kiedy znów przestąpiła próg zielonego salonu, była już spokojna i zrównoważona. Po raz pierwszy ukazała się oczom ojca i hrabiego Ramberga inną, aniżeli była w rzeczywistości. Dumnie i spokojnie spoglądały jej oczy, a głos jej brzmiał czysto i dźwięcznie.

Przez ten czas panowie omówili sprawę zaręczyn i oznaczyli termin ślubu. Wybrali na tę uroczystość dzień dziesiąty lipca i zapytali Josty, czy jej to odpowiada. Josta zgodziła się spokojnie, chociaż przeraziła ją myśl, że tak krótki czas dzieli ją od tego dnia.

Hrabia Ramberg zajął się narzeczoną ze zwykłym swym wdziękiem, który zniewalał wszystkich, i próbował ją trochę rozruszać.

Obiad minął w niczem nie zakłóconym spokoju. Kiedy się skończył, minister został odwołany do swoich spraw, a hrabia Ramberg szykował się do odjazdu. Gdy się żegnał z Jostą, chwyciła go nagle nieprzeparta ochota uściskania jej. Porwał ją w ramiona i zanim się spostrzegła, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Przez chwilę leżała odrętwiała na jego piersi i miała ochotę krzyknąć, kiedy uczuła jego wargi na swoich.

„Robi to tylko z obowiązku“, pomyślała.

„Przestraszyłem ją“, pomyślał hrabia, i robił sobie wyrzuty, że nie mógł się opanować i zadowolnić pocałunkiem w dłoń.

Josta instynktownie stanęła u boku ojca. Kiedy hrabia Ramberg pożegnał się, minister objął Jostę ramieniem.

— Wydajesz mi się, moje dziecko, strasznie poważna i przygnębiona. Czy ze szczerem sercem przyjęłaś oświadczyny Rainera? — zapytał.

Josta przytuliła twarz do piersi ojca. Jakże chętnie ulżyłaby swej duszy i wyspowiadała się przed nim! Ale tego, co czuła i co się w niej działo, nie powiedziałaby nawet matce, a cóż dopiero ojcu.

— Smutno mi tylko, kochany ojczulku, bo cię już tak niedługo opuszczę, — rzekła.

Minister pogłaskał ją po głowie.

— Takie są koleje życia, moje drogie dziecko. Myślę, że dobry zrobiłaś wybór i że zaznasz u boku Rainera cichego, pewnego szczęścia.

Josta skinęła tylko głową, gdyż mówić nie mogła. Młoda jej dusza pragnęła czegoś więcej, jak „cichego, pewnego szczęścia“, o którem mówił jej ojciec.

Kiedy Josta udała się wieczorem na spoczynek do swego pokoju, usiadła jeszcze na chwilę przy biureczku. Wyjęła pamiętnik, w którym opisywała swoje przeżycia od dnia śmierci matki. Przyzwyczaiła się powierzać mu wszystko, z czem dawniej udawała się do matki, i coraz więcej i więcej uczuwała potrzebę spisywania tego, o czem myślała i co przeżywała.

Przewracała kartki pamiętnika i gdzie niegdzie odczytywała niektóre zdania. A na każdej stroniczce odnajdywała słowa: „wuj Rainer“. Tak, dusza jej tkwiła już oddawna przy nim, imię jego wciąż samo wypływało z pod pióra. Przejrzała wszystkie zapisane kartki, a kiedy natrafiła na czystą, wzięła pióro do ręki i zaczęła pisać:

„4 maja. — Jestem narzeczoną, narzeczoną hrabiego Rainera Ramberga! Teraz już nigdy nie będzie dla mnie wujem Rainerem. Co czuję przy tem? Spoglądam na siebie, jak na istotę, którą dziś dopiero poznałam. I lękam się siebie samej. Gdzie się podział spokój mojego serca? Zbudziły się we mnie jakieś nieznane mi gorące pragnienia, które jak mgła przesłoniły moją duszę. Kocham Rainera, tak, kocham go miłością, która z nieprzepartą siłą pcha kobietę w ramiona mężczyzny. Przeraża mnie głębia tego uczucia, które przeistoczyło całą moją istotę, a które muszę lękliwie ukrywać. Dlaczego? Gdyż Rainer nie kocha mnie tak, jak pragnęłabym być przez niego kochaną, gdyż jego serce należy do innej, której się wyrzekł z wielkim bólem. Dowiedziałam się o tem, kiedy mu już dałam swoje słowo. W przeciwnym razie nigdybym się nie zgodziła. A może jednak? Ach, nie poznaję już siebie. Gdzie się podziała moja duma? Uczuwam tylko szalony lęk przed utratą Rainera na zawsze. Ale on się nigdy nie dowie, co się dzieje w mojej duszy! Będę zawsze spokojna i zrównoważona, jak dziś podczas jego pierwszego pocałunku, nie chcę mu być niczem więcej, jak tem, czem mnie chce mieć, wygodną, miłą żoną, która o nic nie pyta, niczego nie żąda. Coby uczynił, gdybym mu odmówiła swojej ręki? Czy poszedłby sobie i poślubił inną? Tego nie zniosłabym, nie, nie wytrzymałabym! Gdzieś głęboko w kąciku mego serca żyje promyk nadziei, że kiedyś przyjdzie taki dzień, gdy skłonię jego serce do pokochania mnie tak, jak ja jego kocham. Rainerze, Rainerze! Coś ty dziś ze mną zrobił, co zbudziłeś dziś we mnie? O, Boże, dopomóż mi! Kocham go... kocham go...“

Josta rzuciła pióro i ukryła twarz w dłoniach. Ciało jej przenikał dreszcz.

ROZDZIAŁ 3

Panujący książę Karol omówił już ze swoim ministrem, Ekscelencją von Waldowem, różne sprawy i skinął mu przyjaźnie głową.

— Dziękuję panu, Ekscelencjo, nie chcę już pana dłużej zatrzymywać. Chyba, że ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia, — rzekł książę.

Jego Ekscelencja skłonił się.

— Czy Wasza Wysokość użyczy mi jeszcze łaskawie posłuchu przez kilka chwil w moich sprawach prywatnych?

— Ależ naturalnie, bardzo chętnie, mój drogi Ekscelencjo. Proszę, niech pan usiądzie i mówi.

Minister skierował poważny wzrok na oblicze księcia. Jego subtelna, mądra twarz dyplomaty zarumieniła się nieco.

— Wasza Wysokość raczy przyjąć do wiadomości, że moja córka Josta — Wasza Wysokość wie, że to moja adoptowana córka — zaręczyła się z hrabią Rambergiem.

Książę, smukły, prawie chudy brunet, poderwał się.

— Chyba nie z hrabią Rainerem Rambergiem?

— Właśnie z panem majoratu, hrabią Rainerem Rambergiem, Wasza Wysokość, — rzekł minister.

Twarz księcia przybrała radosny wyraz. Wyciągnął rękę do ministra.

— Mój drogi Ekscelencjo, to mnie szczerze raduje! Doprawdy, już dawno nie ucieszyła mnie tak jakaś wiadomość. To przecież jest oznaką, że hrabia już przebolał wszystko.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Hrabia Rainer postanowił się ożenić. Z moją córką łączy go już od czasów jej dzieciństwa serdeczna sympatja. I z tem spokojnem uczuciem, które idzie w parze z czcią i szacunkiem, oświadczył się mojej córce. A i ona obdarza go spokojną, szczerą sympatją. Ale mam nadzieję, że właśnie dlatego będzie to bardzo harmonijne małżeństwo. Zapewniają mnie o tem charaktery obojga.

— A ja życzę panu z całego serca, żeby się pańskie nadzieje ziściły, mój drogi Ekscelencjo. Młodej parze wyrażę swoje życzenia osobiście. Mam nadzieję, że w przyszłości hrabia Ramberg nie będzie tak unikał naszego dworu, jak to miało miejsce w ostatnich latach od chwili... kiedy... wie pan już przecież, Ekscelencjo... od czasu, kiedy moja siostra nabrała rozsądku i potrafiła w posiadaniu dwóch synów znaleźć szczęście w małżeństwie z wielkim księciem Albertem. Pragnąłem z całej duszy, aby i hrabia Ramberg pocieszył się i jak najprędzej wstąpił w związek małżeński. Było mi wtedy, o tem pan przecież wie doskonale, niezmiernie przykro stanąć pomiędzy hrabią i moją siostrą, gdy się dowiedziałem o ich miłości. Ale nie mogłem inaczej postąpić.

— Wiem o tem, Wasza Wysokość. Ręka Jej Wysokości księżniczki Heleny była zawczasu przyrzeczona wielkiemu księciu Albertowi. Ja sam umacniałem wówczas Waszą Wysokość w postanowieniu, by ten związek doszedł do skutku. I chociaż z ciężkiem sercem, to jednak z silnem postanowieniem udałem się wtedy do hrabiego, by go skłonić do wyrzeczenia się, z konieczności, z musu.

Książę westchnął:

— Tak, tak, Ekscelencjo, były to ciężkie chwile dla nas wszystkich... Proszę więc, niech pan powie hrabiemu Rambergowi, że przyjmę go jutro z narzeczoną na specjalnej audjencji, by młodej parze powinszować szczęścia.

— Dziękuję Waszej Wysokości w imieniu młodej pary za tę łaskę. Jednocześnie pozwolę sobie wyrazić pewną prośbę.

— Proszę, Ekscelencjo.

— Moja córka nie wie nic o tem, co zaszło. Zapewniliśmy wtedy Waszą Wysokość o naszej dyskrecji, zarówno hrabia Ramberg, jak i ja. I zachowaliśmy ją nawet wobec mojej córki. Dlatego prosiłbym najuniżeniej, żeby Wasza Wysokość wobec mojej córki nie wspomniał ani słowem o tej całej historji.

— Ależ naturalnie, uczynię zadość tej prośbie, Ekscelencjo, tem bardziej, że i mnie ze względu na moją siostrę obowiązuje bezwzględna dyskrecja. Jeszcze raz dziękuję. A jutro o dwunastej oczekuję wizyty młodej pary.

Książę na pożegnanie uścisnął przyjaźnie dłoń ministra.

Ekscelencja wracał pieszo do domu. Kiedy się zbliżył do portalu „Dziewiczego Zameczku", ujrzał nadjeżdżającego w powozie hrabiego Ramberga, który chciał odwiedzić swoją narzeczoną i jej ojca.

Jego Ekscelencja polecił zawiadomić córkę o przybyciu hrabiego Ramberga.

Josta siedziała w swoim buduarze zajęta lekturą, kiedy służący zameldował jej o tem. Natychmiast odłożyła książkę i wstała. Przelotnem spojrzeniem musnęła wazon, wypełniony wspaniałemi ponsowemi różami, stojącemi na czarnym marmurowym blacie okrągłego stolika. Te róże przysłał jej dziś rano hrabia Rainer. Josta podeszła do nich i zanurzyła twarz w pachnącem kwieciu, następnie wyjęła jedną z róż, by ją zatknąć za pasek białej sukni. Ale po chwili włożyła różę zpowrotem do wazonu.

„Czerwone róże są symbolem miłości: nie dla mnie one!" pomyślała boleśnie.

Zwolna udała się nadół, by powitać hrabiego. Przed drzwiami salonu przystanęła chwilę i zaczerpnęła głęboko oddechu, jakby jej brakło tchu. Kiedy weszła, zastała hrabiego Rainera samego. Jej ojciec wymówił się ważnemi sprawami i był u siebie w gabinecie.

Hrabia szybko poszedł Jóście naprzeciw i przywitał ją, całując tylko jej dłoń, gdyż wyczytał w jej oczach lękliwy opór. Josta starała się zachować swobodę.

— Czy ojciec nie przyszedł z tobą, Rainerze?

— Tak, Josto, za chwilę znów tu będzie. Zajęty jest ważnemi sprawami. Spotkaliśmy się przed portalem. Był u księcia i zawiadomił go o naszych zaręczynach. Książę oczekuje nas jutro o dwunastej na audjencji, by nam złożyć życzenia.

Josta westchnęła z uśmiechem: — Ach, nie będziemy wkrótce mieli spokoju. Kiedy nasze zaręczyny staną się głośne, zerwie się istna burza.

— Czyżby ci to było niemiłe?

— Bo są to same tylko puste formy, — rzekła Josta, — rzadko które życzenia będą szczere. A nie lubię być głównym punktem w takim chaosie. Wiesz, w gruncie rzeczy nie jestem wcale stworzeniem towarzyskiem. Dlatego tak chętnie przebywam na wsi.

W ostatnich słowach Josty brzmiała znów ta ciepła nuta zaufania, z jaką się zwykle zwracała do niego.

Hrabia przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

— Więc nie potrzebuję sobie robić wyrzutów, — rzekł, — że zabieram cię ze stolicy do Rambergu?

— O nie, z tego powodu nie rób sobie żadnych wyrzutów! — odparła przyjaźnie.

— Czy nie będzie ci przykro, że większą część roku spędzimy w Rambergu? Mamy tam mało towarzystwa, wszystkiego kilku sąsiadów, między innymi barona Rittberga z rodziną i oficerów garnizonu z żonami. To już wszyscy.

— Nigdy nie będę się skarżyć na brak towarzystwa, — rzekła Josta, — jeżeli mi tylko przyrzekniesz, że zamieszkasz ze mną w Schellingen, kiedy ojczulek dostanie urlop i będzie w Waldowie.

— Chętnie ci to przyrzekam. Ale może twój ojciec na przyszłość zechce spędzać urlopy w Rambergu u swojej córki? A zimą, myślę, zamieszkamy tu przez kilka tygodni. Gdyż podczas uroczystości dworskich nie może cię braknąć w stolicy.

— Czy będziesz ze mną chodził na dworskie bale? — zapytała.

— Naturalnie. Uważam, że jesteś jeszcze za młoda, żeby unikać wszelkich zabaw towarzyskich.

— O, nie sądzę, żeby to miało dla mnie jakieś znaczenie, ale chociażby dlatego, że przez kilka tygodni będę razem z ojczulkiem, pobyt w stolicy sprawi mi wielką przyjemność.

Josta wysunęła dłoń z ręki hrabiego i wstała, by otworzyć okno, gdyż w pokoju zrobiło się bardzo gorąco. Hrabia podniósł się jednocześnie i poszedł za nią. Lekko objął ramieniem jej barki.

— Czy cieszysz się choć troszeczkę, że zostaniesz panią von Ramberg?

— Cieszę się bardzo, że w przyszłości będziesz zawsze przy mnie.

Hrabia chciał ją za to pocałować. Taka mu się wydała urocza i kochana. Josta jednak zachwiała się lękliwie i szybko wysunęła się z jego ramion.

— Josto! — zawołał hrabia z lekkim wyrzutem w głosie.

Josta oddychała szybko i nerwowo, jak dziecko. Hrabia znał u niej tę oznakę wewnętrznego niepokoju jeszcze z czasów jej dzieciństwa.

Z całych sił zmuszała się Josta do spokoju. Mimo, że najchętniej uciekłaby stąd, została jednak i uśmiechnęła się do hrabiego niepewnie i bezradnie.

— Musisz mieć cierpliwość do mnie, Rainerze, muszę się nauczyć..., przyzwyczaić do tego, że już nie jesteś dla mnie wujem Rainerem, — rzekła.

Niełatwo było hrabiemu zachować spokój, ale obawa, by jej nie wystraszyć i nie spłoszyć dodała mu siły.

— Zawsze znajdziesz mnie cierpliwym, moja droga, mała Josto. Odnoś się tylko do mnie z dawnym spokojem, dawnem zaufaniem. I pamiętaj zawsze o tem, że mojem najgłębszem pragnieniem jest uczynić cię szczęśliwą i wesołą! — rzekł, zdobywając się na największy spokój, na jaki go stać było.

Josta spoglądała poza nim w dal, a jego spokój przyjęła za obojętność. Myślała o tem, iż dlatego tylko chce ją całować, że tego rodzaju pieszczoty są obowiązkowe wśród narzeczonych. Josta wróciła także do równowagi i by skierować rozmowę na inny temat, rzekła:

— Kiedy mówiliśmy o balach dworskich przypomniało mi się, że ty w ostatnich latach wcale w nich nie brałeś udziału. Powiedz mi dlaczego?

Po czole hrabiego przemknęła chmura. Josta zauważyła to, kiedy jej spojrzenie spoczęło na jego twarzy. Nie uszło też jej uwadze jego zmieszanie i niepokój.

— Nie brałem w nich udziału, — powtórzył wymijająco, nie dając odpowiedzi na pytanie, — ale na przyszłość chcę tam bywać u boku mojej pięknej, młodej żony.

Josta potrząsnęła dumnie głową.

— Nie mów mi komplementów, nie lubię tego, — rzekła, a przez twarz jej przemknęło drgnienie.

Hrabia był zadowolony, że Josta nie nalega na odpowiedź na swoje pytanie.

— To nie komplement, Josto, — rzekł, — tylko stwierdzenie prawdy.

Josta podeszła do okna i wyglądała przez nie, by ukryć swoją twarz. A kiedy hrabia poszedł za nią, rzekła zmuszając się do beztroskiego, przyjaznego uśmiechu:

— Teraz powinieneś mnie złajać, Rainerze! Jeszcze ci nie podziękowałam za cudne róże, które mi dziś rano przysłałeś.

Hrabia spojrzał na nią z uśmiechem.

— Myślałem, że przypniesz kilka z nich do sukni, jako ozdobę.

Ponieważ Josta uczuła, że krew uderza jej do twarzy, rzekła z wysiłkiem, przybierając obojętną minę:

— Zwiędłyby prędko, a szkoda mi ich.

Zaraz potem wszedł minister i rozmowa potoczyła się wartko. Wkońcu postanowili odbyć po południu wspólną przejażdżkę.

Hrabia Rainer był zadowolony, że Josta powróciła do swego wesołego, żartobliwego tonu, w jakim zazwyczaj prowadziła z nim rozmowę, i starał się go utrzymać.

Stopniowo i zwolna odzyskała para narzeczonych, przynajmniej nazewnątrz, równowagę i spokój. I kiedy hrabia Rainer się żegnał, ukazała mu Josta pogodne, roześmiane oblicze.

Ale gdy Josta po chwili znalazła się sama w swoim pokoju, twarz jej znów przybrała wyraz powagi i smutku. I znów zabrała się do pisania w pamiętniku.

ROZDZIAŁ 4

Następne dni upłynęły narzeczonym w ciągłym gwarze i ruchu. Zaledwie mogli znaleźć kilka chwil, aby porozmawiać ze sobą. Ósmego maja po obiedzie chciał hrabia Rainer wrócić do Rambergu, a na piętnastego miał już być zpowrotem w stolicy. Tego dnia miały się odbyć w „Zameczku Dziewiczym“ oficjalne zaręczyny. Na tę uroczystość mieli też zjechać brat Rainera, hrabia Henning, i hrabina Gerlinda, wdowa po zmarłym panu majoratu, hrabim Rochu.

— Wątpię, czy hrabina Gerlinda zechce wziąć udział w uroczystości, — rzekł hrabia Rainer do narzeczonej, kiedy w rozmowie zeszli na ten temat. — Coprawda żałoba po jej mężu kończy się już, ale ona nosi jeszcze głęboką żałobę w sercu i żyje w zupełnem odosobnieniu.

Josta spojrzała na niego pytająco:

— Hrabina Gerlinda mieszka jeszcze w pałacu Ramberg, prawda?

— Tak, właściwie powinna ona po śmierci swego męża przeprowadzić się do wdowiego domu. Ale ponieważ byłem kawalerem, więc prosiłem ją, żeby nadal zajmowała swoje pokoje w pałacu, dopóki nowa pani nie zjedzie do zamku. Codzień spotykamy się przy posiłkach, które jadamy wspólnie, i często spędzamy wieczory na rozmowach. Hrabina jest mądrą, inteligentną kobietą, rozumiemy się doskonale i chętnie obcujemy ze sobą.

Josta przysłuchiwała się tym słowom z uwagą.

— Czy hrabina wie o tem, że pojechałeś do stolicy, aby się zaręczyć?

Hrabia śmiejąc się potrząsnął głową:

— Nie, Josto. Przecież nie byłem tak pewien twojej zgody, żebym mógł o tem już zgóry mówić. Ale w każdym razie dowie się ode mnie osobiście, że się zaręczyłem. Dlatego nie wysłałem zawiadomienia ani jej, ani baronowi Rittbergowi, żeby nie doszła do niej ta wiadomość skądinąd przed moim powrotem do domu. Hrabina musi się zarazem dowiedzić, że dziesiątego lipca zjedzie do Rambergu nowa pani, a właściwie nieco później, kiedy wrócimy z podróży poślubnej. Teraz jej przeniesienie się do wdowiego domu stało się konieczne.

— O, w takim razie ja wypędzę ją z zamku? — rzekła Josta zalękniona.

— Ależ, dziecko! Hrabina wie oddawna, że jej pobyt w zamku kończy się z chwilą, kiedy ja się ożenię. Potrwa to jeszcze kilka tygodni, gdyż w domu wdowim trzeba przeprowadzić remont. Stoi pusty od wielu lat, od śmierci matki Rocha. Ona to ustąpiła swego miejsca w pałacu Gerlindzie, a teraz zkolei Gerlinda ustępuje go tobie. To jest zwykła kolej rzeczy i nie powinnaś się z tego powodu martwić.

Josta westchnęła:

— Ten zwyczaj w waszym rodzie jest dość przykry.

Hrabia ujął jej dłoń.

— Ty nie potrzebujesz się martwić, że przyjdzie ci kiedyś przenieść się do wdowiego domku. Jeżeli umrę przed tobą, masz prawo przenieść się do Schellingen.

Josta nie podniosła oczu, szepnęła tylko:

— Żal mi bardzo hrabiny Gerlindy.

— Jestem pewien, że nie będzie cierpiała z tego powodu, Josto. Zawiadomię ją o tem w oględny sposób i powiem jej w twojem imieniu, że może bywać w zamku o każdej porze dnia, kiedy jej się tylko spodoba, i że zawsze będziemy ją tam chętnie widzieli. A mam nadzieję, że zaprzyjaźnicie się ze sobą, jestem tego nawet pewien. W każdym razie będziecie się ze sobą zgadzały. Ja naturalnie poproszę ją na uroczystość naszych zaręczyn. Czy mogę to zrobić i w twojem imieniu, Josto?

— Naturalnie, Rainerze, proszę cię o to. I o ile tylko będzie w mej mocy, postaram się okazać jej jak najprzyjaźniejsze uczucia.

Hrabia ucałował dłoń Josty.

— Bardzo to pięknie z twej strony. A teraz pożegnam się z tobą. Za dwie godziny wracam do Rambergu. Z ojcem już się pożegnałem. Dowidzenia więc, do czternastego maja! Tego dnia będę znów tutaj.

— Dowidzenia, Rainerze! — rzekła Josta.

Odprowadziła go na schody, w westybulu hrabia pożegnał ją tylko ucałowaniem ręki, gdyż służba była przy tem obecna.

Wolnym krokiem wróciła Josta do swych komnat i zmęczona osunęła się na fotel. W wyobraźni jej znów stanęła owa chwila, kiedy była z Rainerem na przyjęciu u księcia. Książę był bardzo uprzejmy, sam zaprowadził ich do księżnej i przedstawił ich jako narzeczonych. Przy tej okazji księżna Elżbieta rzekła do Rainera:

— Cieszę się bardzo, panie hrabio, że się pan ostatecznie zdecydował ożenić, i nie będzie już pan tak unikał dworu, jak to miało miejsce w ostatnich latach! Więc już wszystko dobrze i będę bardzo rada przyjąć pana i pańską przyszłą małżonkę, jak cenny nabytek do mojego najbliższego grona.

Przy tych słowach księżna podała Rainerowi rękę do ucałowania, uśmiechając się porozumiewawczo.

Josta nie zwróciłaby na to wszystko szczególnej uwagi, ale kiedy na chwilę rzuciła wzrokiem w bok, zauważyła, że książę ukradkiem daje jakiś znak swojej małżonce, kładąc palec na ustach. Zauważyła także, że księżna nieznacznie skinęła głową na znak, że zrozumiała.

Gdyby Josta przez przypadek nie była świadkiem rozmowy ojca z narzeczonym, nie poświęciłaby tej

scenie dużo uwagi, najwyżej zapytałaby Rainera, co znaczą słowa księżnej: „więc już wszystko dobrze“. Ale teraz wiedziała, że słowa te mają związek z tragedją sercową jej narzeczonego, i wolała tej sprawy nie poruszać.

Ponieważ nie miała nikogo, komuby mogła powierzyć swoje troski i niepokoje, sięgnęła znów po swój pamiętnik, by w nim zapisać to, co przytłaczało jej serce ciężarem.

ROZDZIAŁ 5

Zamek Ramberg stał w lesistej okolicy nad dużą rzeką. Była to potężna budowla w kształcie podkowy, ale o ostrych końcach. Środek tej podkowy wypełniały pięknie strzyżone trawniki z ogromnemi górami piaskowca pośrodku, i duży klomb kwiatów w kształcie gwiazdy z wiecznie szemrzącą fontanną.

Nad portalem był wykuty w kamieniu herb hrabiów Ramberg. W herbie był dzik, skaczący przez trzy róże, a w grzbiecie dzika tkwił oszczep.

Zamek Ramberg był ze wszystkich stron otoczony lasem, a z trawnikami w otwartej części podkowy graniczył piękny, stary park, który znów ciągnął się w głąb lasu.

Park był otoczony wysokiem ogrodzeniem z żelaznych prętów, a w pobliżu ogrodzenia we wschodniej części parku stał śliczny budynek, miejsce zamieszkania owdowiałych hrabin Ramberg.

Przed tym cichym domem stała wysoka, wysmukła postać kobieca w czarnej, powłóczystej szacie.

Hrabina Gerlinda miała 30 lat. Mimo to jej piękna twarz o regularnych rysach odznaczała się świeżą, prześliczną cerą. Chociaż bacznie spoglądający wzrok odkryłby w jej obliczu to co w mocno rozwiniętej róży każe nam pomyśleć o jej rychłem już zwiędnięciu.

Duże, ciemnobłękitne oczy ożywiały piękną twarz tej samotnej kobiety. Jej łagodny zazwyczaj wzrok błyszczał niekiedy jak stal, przez co oczy jej nabierały jakiegoś dziwnego, pełnego energji wyrazu. Z takim właśnie wyrazem spoglądała teraz na zamknięte okiennice wdowiego domu.

„A więc tu mam spędzić lata całe? O nie, nie, będę się temu sprzeciwiać, póki mi sił starczy! Tak szły pozbawione władzy królowe na wygnanie. Ale ja chcę mieć władzę, chcę panować — panować i kochać i być kochaną!“

Odwróciła się i poszła zpowrotem przez park. Kiedy ujrzała przed sobą zamek, przystanęła i przyglądała mu się wielkiemi gorącemi oczyma.

„Tu jest moje miejsce i tu będę żyć. Z tobą Rainerze — z tobą! Jak długo jeszcze będziesz przechodzić koło mnie, jak ślepiec? Czyż nie widzisz, nie czujesz, jak cała moja istota lgnie do ciebie, zwraca się ku tobie, jak kwiat do słońca? Czyż nie czujesz, jak moja dusza pragnie ciebie, nie domyślasz się, że ten rok żałoby był najszczęśliwszym w mojem życiu, gdyż spędziłam go u twego boku? Wróć do domu Rainerze, ja tęsknię za tobą!“

Zwolna, trzymając się dumnie, choć nieco przygnębiona, kroczyła naprzód. Kiedy weszła na szeroką drogę, która przecinała park, prowadząc do zamku, ujrzała nadjeżdżający powóz.

Siedziała w nim żywo spoglądająca dama, lat przeszło czterdziestu. Gdy ujrzała hrabinę, kazała zatrzymać powóz i wesoło i przyjaźnie skinęła jej głową.

— Najdroższa hrabino, dzieńdobry pani! Chciałam właśnie wpaść do pani na herbatkę. Czy można? W przeciwnym razie proszę mi szczerze powiedzieć „nie“, to zawrócę i pojadę sobie do domu!

Hrabina Gerlinda z łagodnym uśmiechem, który zawsze przybierała na pokaz, podeszła do powozu.

— To pięknie z pani strony, baronowo, że się pani ulitowała nad moją samotnością! Spacerowałam trochę po ogrodzie i właśnie chciałam wrócić na zamek. Cieszę się ogromnie, że będę miała towarzystwo do herbaty.

— A ja cieszę się, że znów panią widzę! Proszę, niech pani siądzie koło mnie w powozie. Albo ja wysiądę i pójdę z panią pieszo do zamku.

— Nie, nie, już ja lepiej wsiądę do pani, gdyż wiem, że nie jest pani wielką amatorką spacerów.

— Oho, niech pani tego nie mówi! Gdy jestem sportowo ubrana, to chętnie chodzę. Ale teraz jestem w bardzo długiej sukni i w pantoflach na strasznie wysokich obcasach. Pani wie, że to moja słaba strona. A zresztą milej mi będzie, jeśli pani usiądzie koło mnie i pojedziemy razem.

Hrabina Gerlinda wsiadła do powozu i pojechały dalej.

— Czy hrabia Ramberg wrócił już z podróży? — zapytała baronowa dźwięcznym głosem.

— Nie, jeszcze nie.

— Ale, niech mi pani powie, co go skłoniło do tak nagłego wyjazdu? Zapewne do rezydencji lub do Berlina! Przecież w maju niema tam nic ciekawego.

— Może odwiedził w Berlinie swego brata.

— Ale myślę, że niedługo zabawi, — rzekła baronowa, — gdyż służącemu powiedział, że wyjeżdża na kilka dni. Przecież w niedzielę macie państwo być u nas na obiedzie. Przyrzekła mi to pani?

— Bardzo chętnie. Jeżeli tylko mój kuzyn do tego czasu wróci, to przyjdziemy na pewno razem.

— Miejmy nadzieję, droga pani Gerlindo. Ale pani przyjdzie w każdym razie?

— Napewno, bywam bardzo chętnie w Rittbergu, chociaż żyję teraz w zupełnem odosobnieniu.

— Tak, tak, właśnie na ten temat chciałam z panią pomówić. Obliczyłam dziś według kalendarza, że przed czterema dniami minął rok od śmierci hrabiego Rocha. A więc może już pani zdjąć żałobę i znów pokazać się trochę w świecie. Taka młoda istota, jak pani, ma jeszcze prawo do życia i obowiązki względem siebie samej.

Hrabina Gerlinda z przyjemnością słuchała tych słów. Ale westchnęła boleśnie i smutnym wzrokiem spojrzała przed siebie.

— Mam wrażenie, że zrosłam się z moją żałobą.

— Mój Boże, niech pani nie mówi takich rzeczy! Chociaż, prawdę mówiąc, uroczo jest pani w tej żałobnej sukni. Wspaniały jest kontrast tej czerni z pani złotemi włosami i kwitnącą cerą.

Powóz zajechał przed portal zamku. Kiedy stanął, hrabina Gerlinda wyskoczyła zeń lekko i zwinnie, nie przyjmując pomocy nadbiegającego lokaja. Ale korpulentna nieco baronowa ciężko oparła się o jego ramię, potem ująwszy hrabinę pod rękę weszła z nią do wysokiego hallu, stamtąd do bibljoteki, następnie skierowały się do zachodniego skrzydła pałacu.

Hrabina zajmowała najpiękniejsze pokoje w zamku, a jej wysoka arystokratyczna postać wspaniale harmonizowała z tem otoczeniem.

Z wielką uprzejmością i pewnością siebie czyniła hrabina Gerlinda honory domu, zupełnie tak, jakgdyby jeszcze była panią tego zamku. Poleciła służącemu podać herbatę do błękitnego salonu.

Obydwie panie zasiadły przy pięknie nakrytym stole. Hrabina osobiście nalewała herbatę do ślicznych filiżanek z chińskiej porcelany. Nadal z przyzwyczajenia używała hrabina dla swoich potrzeb wszystkiego, co było najwspanialszego w zamku.

Baronowej, teraz jak i zwykle, kiedy znajdowała się w towarzystwie hrabiny, nasuwały się myśli, że właściwie najrozsądniej zrobiłby hrabia Rainer, żeniąc się z wdową po kuzynie. Napewno nie znajdzie drugiej kobiety, któraby się tak nadawała do królowania w tym zamku, jak ona. I ulegając tym myślom rzekła nagle:

— Czy nie sądzi pani, hrabino Gerlindo, że właściwie najwyższy już czas, żeby się hrabia Rainer ożenił? Jeżeli nie chce zejść ze świata jako stary kawaler, to już powinien się rozejrzeć za żoną.

Twarz hrabiny Gerlindy pokryła się słabym rumieńcem. Ale obojętnie wzruszyła pięknemi ramionami i rzekła, uśmiechając się lekko.

— Narazie nie zanosi się na to.

— Ale pani chyba wie coś niecoś, co on o tem myśli.

Hrabina znowu wzruszyła ramionami. Potem rzekła z uśmiechem:

— Entre nous, moja droga baronowo, mnie się zdaje, że mój kuzyn przeżył jakąś miłosną tragedję, i to odebrało mu ochotę do żeniaczki. Tak mi się tylko zdaje. Ale miejmy nadzieję, że ma już to poza sobą.

Baronowa przysłuchiwała się temu z wielkiem zaciekawieniem.

— Ach! Więc to romans miłosny? Czy nie wie pani nic bliższego o tem? Ta sprawa ogromnie mnie interesuje.

— Mój mąż napomknął mi kiedyś o tem, naturalnie w wielkim sekrecie, dlatego niechętnie mówię o tej sprawie. Tylko tyle mogę pani zdradzić, że szło o damę z bardzo wysokich sfer. Ale miało to miejsce przed wieloma już laty, i myślę, że ta rana już się dawno zagoiła.

— Byłoby to pożądane. Ja sobie odrazu tak pomyślałam, że hrabiego powstrzymuje od małżeństwa jakaś nieszczęśliwa miłość. No, ale to byłoby nierozsądne.

— Możeby mu to pani kiedyś osobiście powiedziała, pani baronowo?

— Właśnie, że to zrobię, z całą pewnością! Niechże nareszcie otworzy oczy. Nie potrzebuje wcale szukać daleko swego szczęścia. Znajduje się ono rzeczywiście tuż wpobliżu!

Hrabina Gerlinda była tego samego zdania, jednak uważała za wskazane, udawać, że nie wie, do czego zmierza baronowa. Nie uważała za konieczne wtajemniczać ją w swoje plany.

— Tak, tak, jest tu kilka uroczych, młodych pań w sąsiedztwie. Ale pozostawmy ten kłopot jemu, droga baronowo.

— No tak, ale w każdym razie możnaby mu w tem dopomóc. Mężczyźni są nieraz tak bezradni w najprostszych sprawach. No, a teraz co do pani, droga hrabino, powinna już pani koniecznie zdjąć żałobę. Niech to pani dla mnie zrobi i niech pani w niedzielę przyjdzie do nas w jasnej sukni.

Hrabina Gerlinda westchnęła, jakby jej było trudno to przyrzec.

— Zrobię to jedynie dla pani! Przecież kiedyś musi się to stać ze względu na moje otoczenie.

— Naturalnie! Zresztą żałoba nie tkwi w sukniach. Jeżeli pani chce w sercu nosić wciąż jeszcze żałobę po mężu, to niepotrzebne są do tego czarne suknie. Ale pani powinna wrócić do życia! Ono jest za piękne, żeby je przetrwonić bezcelowo dla żałoby. A teraz muszę już pójść, droga hrabino. Więc oczekuję panią w niedzielę i mam nadzieję, że przyprowadzi pani ze sobą hrabiego Rainera.

Żegnając się i kłaniając żwawa baronowa odjechała wreszcie.

Hrabina Gerlinda stała jeszcze przez chwilę, spoglądając w zamyśleniu za powozem. Kiedy się odwróciła, by wejść zpowrotem do zamku, ujrzała administratora Heilmanna, wracającego z wschodniego skrzydła.

— Ma pan dużo roboty podczas nieobecności pana hrabiego? — zapytała hrabina znacznie uprzejmiejszym tonem, niż było to w jej zwyczaju przy zwracaniu się do podwładnych.

Ciąg dalszy nastąpi.

Prawdziwe opowiadania z życia*)

(Od naszych czytelników)

Wykolejone egzystencje.

Wojna, rewolucja, przewarstwowienia społeczne z ostatnich lat naszej epoki, wszystko to zwaliło się na nieprzygotowaną ludzkość, zmiatając niby orkan szalony z elementarną wprost siłą wszystko i wszystkich po drodze swego niszczycielskiego pochodu, nie uznając żadnych hamulców ni przeszkód.

Biada nieostrożnemu, który na czas nie potrafił się usunąć. Dostawszy się raz bowiem w tryby piekielnego młyna, którego popęd stanowi ów orkan szalony rwącego się naprzód z nieludzką szybkością życia, stawał się jedynie bezdusznym ochłapem ludzkim, który się już nie potrafił zeń wyswobodzić, póki się nie stoczył w najgłębszą otchłań nędzy i poniżenia człowieczeństwa.

Chybiony genjusz.

(A. M., Warszawa.)

Znajdujemy się w sercu Warszawy. Miasto tu snać nigdy nie odpoczywa. Wrzask, hałas, tumult, ogromne masy ludzi. Zmieszany wysoko wartościowy materjał ludzki z wielkomiejskiemi mętami, które jedynie zaśmiecają ulice.

... „Szofer, zatrzymać się!“ krótką drogę w ponurą uliczkę odbędziemy pieszo. Zajeżdżające auto byłoby tu czemś niezwykłem...

Mała niepozorna piwiarnia stanowi nasz cel.

Jedna z najpodrzędniejszych w swoim rodzaju bud Warszawy. Zaduch zepsutego, porozlewanego tu i ówdzie piwa. Kelnerka dzierżawi bufet. Jeśli który z rzadkich gości w przestępstwie szczodrości postawi jej flaszkę wina, wtedy majestatycznym krokiem opuszcza swoje stanowisko, otwiera dziwaczną, wielemówiącą kratę żelazną, która zamyka dostęp do niej i towarzyszy gościowi w opuszczonej niży...

Kelnerki jednak nie szukamy.

— Całą naszą uwagę poświęcamy człowiekowi, który drżąc z zimna stoi przy małym żelaznym piecyku!

— Typ sutenera, zgadzam się z panem.

— Źle ubrany, owszem, czasy są złe.

— Niechlujny, niegolony, złajdaczony o twarzy upoja, jestem w zupełności Pańskiego zdania.

— Gospodyni..., dwa piwa i dwie czyste! Powiedzcie-no czy nie macie tu muzyki?

— Janek! Państwo życzą sobie muzyki...

Obdartus podchodzi niemrawo do fortepianu, gra modny „szlagier“...

— Czy nie znajduje Pan, że za dobrze gra jak na takiego grajka szynkowego?... Gospodyni! wódka dla orkiestry!

— Czy nie znajduje Pan, że on gra znamienicie?

— Czy wie Pan, że człowiek ten koncertował niegdyś w Paryżu i Londynie?!, że on również, rzadko spotykany fenomen ma piękny głos...

— Gospodyni! wódka dla orkiestry!... albo bądźmy szczodrzy, flaszka wina dla orkiestry! —

— Widzi Pan jak mu smakuje! A teraz? gospodyni, czy orkiestra potrafi zaśpiewać?

— Teraz śpiewa. Jest Pan wstrząśnięty. Musiał to być kiedyś fenomenalny głos. Wino go budzi do życia. Teraz gra wyłącznie dla nas. Wino i wódka stanowią dla niego nagrodę, teraz nam daje ze siebie, co ma najlepszego.

— Uważaj Pan, co z tym zupełnie podupadłym i nieszczęśliwym człowiekiem pewnego dnia się stało. — Wie Pan, że kiedyś o nim gazety pisały „Fenomen na firmamencie sztuki... wschodzi piękna gwiazda...“

— Było to w S. Miał się odbyć w kasynie wielki koncert i w tym celu miała przyjechać orkiestra teatralna z Ł. Dzień koncertu. Należało przygotować salę koncertową kasyna. Dyrygient orkiestry Prof. S. przyjechał już pierwszym rannym pociągiem. Mały ruchliwy człowieczek o ogromnej białej grzywie, pełen niegasnącej energji przy dyrygowaniu. Otóż ów pełen temperamentu artysta tegoż dnia nieustannie każdego w kasynie łajał. Naturalnie jak przewidywałem, nic jeszcze nie zrobione! Za trzy godziny, będą moi muzycy pociągiem. Wtedy mamy rozpocząć próbę, piorunem!...

Potem pośpieszył do sali koncertowej. Sala miała jeszcze ten wygląd jak przed ostatnią zabawą. Wypróżniona do tańca, na podjum porozrzucane pulpity na nuty.

Wśród tego nieładu siedzi zupełnie spokojnie, nic nie przeczuwając młody student i gra...

Profesor S. wchodzi, obok niego dyrektor kasyna. Dyrektor zamierzał właśnie podejść do Janka z prośbą, by przerwał, gdy profesor S. chwyta go za ramię: — Kto to jest? —

— Student, który ze swoimi rodzicami przyjechał tu dla wypoczynku.

— Człowieku! nie gadaj niedorzeczności. Kto to jest?

— Student, który ze swoi...

Profesor podchodzi do grającego. Mówią ze sobą. Profesor potrząsa głową. Następnie Janek gra znowu. Profesor przynosi sobie krzesło z kąta. Po pół godzinie przychodzą robotnicy, którzy mają przebudować salę. Profesor oddala ich ruchem ręki. Janek gra. Nadchodzą muzycy. Profesor ich zatrzymuje. Wreszcie gra się skończyła. Chłopak przy fortepianie dalej nie może.

Profesor S. wstaje. Do chłopca zwrócony:

— Z Pańską filologją koniec!

Fantastyczne odkrycia. Zanim idzie fantastyczna karjera. Najpierw jakiś czas studja u prof. S., następnie studja specjalne u najgenjalniejszych mistrzów świata. Potem jeszcze kilka mało-znaczących koncertów, które już jednak mają ogromne powodzenie. Następnie podróż do Paryża... I wtedy właśnie piszą gazety...!

Młodym był chłopak i pięknym. Było to coś dla kobiet! Pieniądze zarabiał, napływały do jego kieszeni strumieniami. Mistrzem w grze, nie był jednak mistrzem w życiu. Sztuka to równocześnie wyrzeczenie się przyjemnostek, które nam życie codzienne nastręcza. Szybkie wzniesienie, było dla niego jednocześnie szybkim upadkiem. Nie zważał na nic. Życie było zbyt piękne. Kobiety, kobiety i do tego alkohol. Koncert był zamówiony, artysta nietrzeźwy.

Trzy lata potem. Spotykamy go jako statystę w podrzędnym teatrze prowincjonalnym. Potem staczał się coraz szybciej, nie mógł już ujść przeznaczeniu.

Kilka lat później. Lokale najpodlejszego gatunku. Popełnił już gdzieś kiedyś jakieś głupstwo, policja, areszt, więzienie. Obecnie w tej piwiarni zakotwiczony a raczej wykolejony.

Dla tego człowieka wszelki ratunek spóźniony...

Handlarka pomarańcz.

(B. S., Łódź.)

Most kolejowy. Pociągi z hukiem przejeżdżają. „Szofer stoooop!“ Staramy się przekrzyczeć hałas wielkomiejski. Nareszcie. Mamy szczęście. Znajdujemy tę, którą szukamy. Mam na myśli kobietę, która handlem owoców zarabia na swoje nader skromne utrzymanie. Kogo widzimy przed sobą?

Ubogą kobiecinę, o nadętej i z mrozu posiniałej twarzy, na której nędza i występek położyły swój stygmat...

Dwadzieścia lat, spory szmat czasu, wystarczający, by doprowadzić nawet renomowaną piękność... do tego stanu!

Pan podrywa się: „Kim jest ta kobieta?“

„Czy słyszał Pan kiedy o profesorze E.?“

„Któż go nie zna?! Posiada sławę światową.“

„To jest jego żona...“

Była kiedyś powszechnie podziwianą pięknością. Największe sławy naukowe i literackie brały udział w jej słynnych przyjęciach. Pewnego razu pytają dzieci ojca: „Gdzie mamusia?“ — Jedyne słowo stanowi odpowiedź: „Wyjechała“.

Wyjechała z młodym artystą. Chciała rozpocząć życie wolne od wszelkich więz konwencjonalnych, poświęcone jedynie miłości szalonej, pełnej namiętnych porywów.

Wynikiem tego, cień jej dawnego jestestwa pod mostem kolejowym...

---

*) Prosimy naszych czytelników o „prawdziwe zdarzenia z życia“, które umieszczać będziemy w tym dziale, celem nawiązania korespondencji z naszymi przyjaciółmi i tychże między sobą. Redakcja.

Rosyjski emigrant.

(K. L., Kraków.)

Pomocnik ogrodnika opowiada następujące ciekawe zdarzenie:

Jestem synem właściciela olbrzymich latyfundyj w Rosji południowej. Miałem jeszcze dwie siostry. Nie wiem, czy jeszcze żyją, były żonami dwóch oficerów gwardji. To są jednak dzieje późniejszych czasów.

Choć pochodziłem ze starej arystokratycznej rodziny, czułem już jako uczeń pociąg do anarchistów. Kilkakrotnie musiałem uchodzić przed pikami kozaków.

Studja uniwersyteckie odbywałem w Petersburgu.

Środki pieniężne, jakie mi ojciec postawił do dyspozycji były niemalże nieograniczone. Finansowałem całą partję.

Po długim czasie zostałem zadenuncjowany. Musiałem uchodzić zagranicę.

Dzięki interwencji ojca, sprawa została zatuszowana. Wstąpiłem do gwardji. Wtedyto siostry moje wyszły za moich kolegów, również oficerów.

A potem... wszystko nam w Rosji zabrali. W jednej chwili staliśmy się nędzarzami.

Przepędzono nas z dworu...

„Czy ma pan jakiekolwiek zajęcie dla byłego oficera gwardji?“

„Tak, by zaszczepić kilka krzewów“. W ten sposób znalazłem się tutaj...

Rosjanie... Rosjanie... Uciekinierzy... Cała potężna armja nadciąga...

Portjer i palacz na ulicy... N..., rosyjski pułkownik.

Często spotykany jest przed kratkami sądowemi typ rosłego człowieka, który zawsze prawie rozpoczyna swoje opowiadanie od słów: „Jestem synem księcia S.... Z początku powątpiewania, potem stwierdzenia ponad wszelką wątpliwość prawdziwość zeznań oskarżonego...

Wielka kradzież akcyj w Atlantic-banku w Londynie.

(Z. W., gimnazjum, Stanisławów.)

Piątek, 21 kwietnia 1933, godz. 9 minut 19.

— Poranna poczta, panie dyrektorze.

— Dziękuję.

Artystycznie cyzelowany sztylet kaukaski, służący do rozcinania papieru, szerzy spustoszenie wśród pstrych kopert.

Propaganda — segreguje dyrektor Stevenson — dewizy — personalkredyty — dewizy — dewizy — efekty — kursy — — a tu... Poczta lotnicza.

Chwileczka. Na kopercie adres:

— WPan Dyrektor Stevenson Keystone-Bank, Nowy-Jork, do rąk własnych.

Jako nadawca:

Dyrekcja Atlantic-banku, Londyn.

Rozcięta koperta z szelestem spada na podłogę.

Dyrektor Stevenson czyta.

— Wielce szanowny Panie Dyrektorze! Powołując się na nasze wieloletnie stosunki handlowe z bankiem WPana, zwracamy się do WPana z osobistą prośbą w nader drażliwej sprawie.

Jeden z naszych prokurentów, będący przez trzydzieści lat w służbie i obdarzony naszem pełnem zaufaniem, wyjechał wczoraj, zabierając ze sobą przez zapomnienie pakiet akcyj General Motors, wartości nominalnej 60 000 Ł. Poszlaki wskazują, iż wsiadł on w Liverpoolu na okręt St. Claire, płynący do Nowego Jorku. Okręt wjeżdża do portu w piątek w południe. Bylibyśmy WPanu mocno zobowiązani, gdyby udało Mu się wspomniany pakiet akcyj defraudantowi odebrać i przesłać nam pocztą lotniczą. W tym wypadku rezygnujemy z doniesienia karnego, nie chcąc narazić na szwank opinji naszego banku z jednej strony, jak i w uznaniu bądź co bądź bez zarzutu odbytej 30letniej służby. Posuwamy się nawet tak dalece, że upoważniamy WPana, wypłacić byłemu naszemu prokurentowi w uznaniu 30letniej wiernej służby 1000 Ł jako odprawę, pod warunkiem, że nie zjawi się więcej — — — w Anglji.

Temi 1000 Ł proszę konto nasze obciążyć.

Następują pozdrowienia i podpis.

Dyrektor Stevenson patrzy na zegarek.

Jeszcze raz przeczytał uważnie rysopis i schował go do kieszeni. Zadzwonił.

— Mój wóz.

— W tej chwili, panie dyrektorze.

Piątek, 21 kwietnia 1933, godz. 14 minut 14.

— Przepraszam, czy miejsce wolne?

— Proszę.

— Dziękuję.

Dyrektor Stevenson usiadł. Naprzeciw siedzi mister Brown z Londynu, jak zapisał w księdze hotelowej hotelu Savoy. Rysopis był dokładny. Dyrektor Stevenson poznał go natychmiast przy wysiadaniu z okrętu. Pojechał za nim do hotelu i zaczekał w hallu, zanim Brown nie uda się na posiłek. Poszedł za nim. Przysiadł się do stołu. Po wymianie zwykłych grzeczności toczy się następująca rozmowa:

— Pan podróżuje dla przyjemności?

— Well. Chcę oglądnąć kraj dolara.

— Zazdroszczę panu, gdyż interesy handlowe zatrzymują mnie w Nowym Jorku i nie pozwalają mi na dłuższą podróż.

— Pan jest kupcem?

— Bankier — przedstawia się Stevenson — pan pozwoli — dyrektor Stevenson z Keystone banku Nowy Jork.

— Cieszy mnie. Brown — Bill Brown z Londynu. Znajomość z panem, panie dyrektorze, jest mi podwójnie przyjemną, gdyż mam pakiet akcyj, który mi polecił zastawić mój przyjaciel w Nowym Jorku.

— Większy objekt?

— 60 000 Ł General Motors.

— Jaką sumę pan się spodziewa uzyskać?

— Połowę.

— 30 000 Ł.

— Yes.

— Będzie dla mnie zaszczytem, jeżeli pan memu bankowi poleci przeprowadzić tę tranzakcję.

— Kiedy mogę w tej sprawie odwiedzić pana, panie dyrektorze?

— Jeżeli to panu nie przeszkadza, to zaczekam na pana w hallu.

— Chętnie.

Piątek, 21 kwietnia 1933, godz. 15 minut 15.

— Proszę — rzekł dyrektor Stevenson, wprowadzając do swego gabinetu p. Browna.

— Dziękuję.

— Papierosy? Likier?

— Dziękuję. Może później. Przedewszystkiem interes.

— Proszę. Mógłbym te akcje oglądnąć?

Brown otworzył tekę i wybiera związany pakiet.

— Zestawienie jest na górze — powiada.

Dyrektor porównuje. Było dokładnie 300 sztuk akcyj nominalnej wartości 60 000 Ł.

— Tu jest poświadczenie — rzekł dyrektor, podpisując duplikat.

— Dziękuję. — Czy mam się z tem osobiście zwrócić do kasy?

— Nie, niekonieczne. — Stevenson dzwoni. — Ja to załatwię.

Dwaj urzędnicy wchodzą.

— Tu są akcje — Stevenson wręcza pakiet — i proszę przynieść temu panu list banku Atlantic z Londynu.

Brown truchleje. — Cóż to ma znaczyć? — pyta.

Dyrektor niemym giestem wskazuje na list.

— Czy każe mnie pan natychmiast aresztować? Defraudację popełniłem z konieczności. Zgrałem się w totalizatora...

Uspokojony przez dyrektora Stevensona, mając 1000 Ł w kieszeni, opuszcza Brown ze łzą w oku biuro, przyrzekając zmienić tryb życia i nie pokazywać się więcej w Anglji.

Piątek, 21 kwietnia 1933, godz. 16 minut 26

Kabel. — Nowy-Jork—Londyn.

Atlantic-bank Londyn stop zlecenie wypełnione stop prokurent poznany akcje odebrane lotniczą Londyn przesłano stop 1000 Ł wedle zlecenia wypłacono prokurentowi stop Keystone bank Nowy Jork.

Piątek, 21 kwietnia 1933, godz. 19 minut 56

Kabel. — Londyn—Nowy-Jork.

Keystone bank Nowy-Jork stop kabel przesyłka niezrozumiałe stop nasi prokurenci wszyscy obecni stop żadna defraudacja od 10 lat stop przesłane akcje fałszywe stop prawdopodobnie keystone bank padł ofiarą zręcznego oszustwa stop Atlanticbank Londyn.

Redaktor odpowiedzialny: Roman Dąbrowski, Warszawa, Koszykowa 47 — Nakładem Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki, Stanisławów
Drukarnia A. Dittmann T. z o. p., Bydgoszcz — 8526